

BOHATERSKI STALINGRAD

KTÓREGO OBRONA PRZED DZIESIECIU
LATY ZAPOCZĄTKOWAŁA PRZEŁOM W DZIEJACH
WOJNY, PODNIÓSŁ SIĘ JUŻ CAŁKOWICIE Z RUIN
I ZNISZCZENIA. O HISTORYCZNEJ EPOPEI
STALINGRADZKIEJ PISZEMY NA STR. 4—5



POGŁĘBIAMY PRZYJAŻŃ POLSKO-RADZIECKĄ



CAF

Interesującą imprezą Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej był odczyt o sztuce radzieckiej, wygłoszony w Warszawie przez A. Ł. Szabsa, reżysera bawiącego w Polsce Państwowego Teatru im. Mossowietu



CAF

Podobnie jak w latach ubiegłych olbrzymią frekwencją cieszył się tegoroczny Festiwal Filmów Radzieckich. Społeczeństwo polskie mogło poznać tak znakomite filmy, jak „Niezapomniany rok 1919”, „Wiejski lekarz” i in.

MASZYNY RADZIECKIE



CAF

W lubelskiej FSC ukończono montaż maszyn radzieckich do obróbki drzewa.

ROZWIJA SIĘ KULTURA MUZYCZNA WSI



CAF

W Wiejskim Domu Kultury w Lipuszu, pow. Kościerzyna, zorganizowano zespół muzyczny. Członkowie zespołu otrzymali nowe instrumenty.

NOWI CZŁONKOWIE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ



CAF

11 indywidualnych gospodarzy przystąpiło ostatnio do spółdzielni produkcyjnej Skąpe w woj. bydgoskim.

WYKONAŁ ZADANIA PLANU 6-LETNIEGO



CAF

Leon Foltarz, z Częstochowskiej Fabryki Okuć Budowlanych wykonał już swoje zadania Planu 6-letniego.

SPADŁY PIERWSZE ŚNIEGI



CAF

Obfite opady śnieżne w Zakopanem spowodowały w pierwszej chwili duże trudności transportowe.



CAF

Na Hali Kondratowej odbywają się już treningi narciarzy z AZS-u i wielu innych zrzeszeń sportowych.

7 LISTOPADA W MOSKWIE



CAF

Mieszkańcy Moskwy, podobnie jak obywatele całego Związku Radzieckiego, uroczystie i wesoło obchodzili wielkie święto wyzwolenia proletariatu — XXXV Rocznice Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

PRZEDSTAWICIELE POLSKI NA VII SESJI ONZ



Uninations

Przedstawicielami rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na 7 sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ są: (od lewej) Stanisław Gajewski, min. Stanisław Skrzyszewski, Juliusz Suchy, amb. Jerzy Michałowski i Henryk Birecki.

BRYTYJSKI TERROR W KENII



International News Photos

W Kenii szaleje w dalszym ciągu terror brytyjskiej i lokalnej policji skierowany przeciwko Murzynom, po-dejrzany o udział w organizacjach niepodległościowych (patrz reportaż fotograficzny na str. 12—13).

SWAT

NASZA KRONIKA

PRZED kilkoma tygodniami rozmawiałem z pewnym starym znajomym pełniącym obecnie odpowiedzialne funkcje w ONZ. Jako urzędnik ONZ znajomy ów zwiedził kawał świata: właśnie niedawno, zanim przyjechał na urlop do Warszawy i do Zakopanego, był na Malajach, był w Burmie i w wielu innych jeszcze miejscach, gdzie bije przyspieszony puls świata. Dziwne to naprawdę były rozmowy. Z nazw tylko znam Sydney, Bangkok, Singapoore, Rangun, Hanoi, Saigon i Luang Prabang. A po rozstaniu z moim rozmówcą miałem wrażenie, że to ja, a nie on, przemierzałem ulice tych dalekich, egzotycznych miast, że to ja, a nie on, zagłębiałem się w ciemne, nędzne uliczki, pełne azjatyckiej nędzy i ludzkiego buntu.

Były to nie tylko moje wrażenia. Konfrontowałem je z wrażeniami innych. Były podobne. Na czym to polega, że my stąd, z Warszawy, lepiej i ostrzej widzimy sprawy dalekiej południowo-wschodniej Azji, niż człowiek, który tam był na miejscu i badał z ramienia międzynarodowej organizacji tamtejsze stosunki?

Kiedyż rzy mamy czas mądrzeć, studiować sprawy owych dalekich krajów, którym nasz znajomy z New Yorku poświęca cały swój czas? A jednak tak jest rzeczywiście: nie ruszając się z Warszawy czy Szczecina, ba — nawet ze wsi pod Poznaniem albo Zamościem, można często zdobyć pełniejszy, jaśniejszy pogląd na sprawy drugiej półkuli, niż studiując je na miejscu. Ważne: nie skąd patrzeć, z bliska czy z daleka, ale jak patrzeć i jak myśleć. Dalekie może być bardzo bliskie, i bliskie może być bardzo dalekie. Nasza mądrość na tym polega, że rozumiemy coraz lepiej sprawy całego świata, rozumiemy je w powiązaniu z całością spraw świata i praw nim rządzących. A ten mój znajomy z ONZ patrzył na wszystko, co widział z tak bliska, bez umiejętności uogólniania, bez umiejętności rozumienia, wyluskiwania ziaren prawdy.

Chodzą jeszcze tacy po Warszawie i po całym naszym kraju, co to bez przerwy narzekają, żeśmy deskami rzekomo od świata zabici, że mówią się tylko i pisze o polskich naszych sprawach, o produkcji, planach i budownictwie. A tymczasem stąd właśnie, właśnie z tego, z tej głębokiej nauki o Polsce współczesnej, powstaje, tworzy się nasza mądrość nie tylko o Polsce, ale i o całym świecie. Bo na przykładzie Polski uczymy się praw rządzących światem, nawet krajami, żyjącymi w innym ustroju, w innych warunkach. I dlatego wystarczy nam krótka wiadomość na przykład o walkach w Kenii, by zorientować się, o co tamtym dalekim, czarnym ludziom chodzi, by współczuć ich doli i życzyć im zwycięstwa. Nie każdy może nawet potrafi tę Kenię na mapie pokazać, ale każdy już wie, że to nowe kruszące się ogniwo systemu kolonialnego.

Każdy dzień naszej Polski uczy nas nie tylko Polski, ale i świata. Radca prawny sekretariatu ONZ, jeden z najbliższych współpracowników Trygve Lie, popelił właśnie przed paroma dniami samobójstwo, skacząc z okna. Feller (tak brzmi nazwisko samobójcy) skoczył z któregoś tam piętra po wizycie przedstawiciela amerykańskiej komisji badającej lojalność urzędników ONZ. Lojalność — znaczy w języku współczesnej Ameryki całkowite, bez reszty zaprzeczenie się amerykańskiemu imperializmowi i oddanie się na ich służbę. Feller zaplątał się we współpracę z tą „komisją” i nie umiał się wywikłać z dylematu: bronić zasad Karty ONZ czy ugiąć się przed terrorem FBI. Nie widział dla siebie innego wyjścia życiowego, jak śmierć. Z okien podporządkowanego Departamentowi Stanu sekretariatu ONZ nie wesoło roztaczają się widoki. Niedobrze z nich widać świat i jego perspektywy rozwojowe. Jakże inne, lepsze i prawdziwsze roztaczają się z każdego warszawskiego rusztowania, otaczającego nową budowę.

Ten nasz świat jest jeszcze twardy i trudny. Ale on chce i rzeczywiście robi to, ażeby każdy człowiek poczuł szacunek dla siebie samego i dla innych ludzi.

Zebrał się właśnie na swe pierwsze posiedzenie nasz nowowybrany Sejm. Już pierwsze jego prace budzą powszechne zaciekawienie i powszechny szacunek. Naród polski szanuje swoje przedstawicielstwo, bo szanuje siebie. Jakże inaczej odnosi się burżuazja do swoich parlamentów, będących narzędziem panowania burżuazji i jednocześnie jej pośmiewiskiem. Symbolem współczesnej polityki amerykańskiej był przebieg tamtejszej kampanii przedwyborczej. To ten sam nastrój, w którym radca prawny sekretariatu ONZ podchodzi do okna i rzuca się zeń na ulicę. To głębokie uczucie obrzydzenia do własnych instytucji „demokratycznych”, obrzydzenie do siebie samego, do roli, którą się odgrywa. Największy łotr i kłamca ma takie chwile szczerości, gdy nie może wytrzymać własnego łotrostwa i własnego kłamstwa i krzyczy:

— Precz ze mną!

Albo rzuca się z okna na bruk.

Władza ludu obala raz na zawsze kłamstwa burżuazji. Właśnie przed paroma dniami teatr im. Mossowieta pokazał nam w „Sztormie” ten ciężki, trudny i radosny proces powstawania władzy ludowej. Jest tam scena zebrania w małym miasteczku, nękanym zarazą tyfusową, działalnością szpiegów i dywersantów, zagrożonym przez białe bandy. Na zebraniu tym zabiera głos chłopka. Jest to chyba jej pierwszy występ publiczny. Bezpartyjna chłopka swoje energiczne wystąpienie kończy okrzykiem:

— Niech żyją bolszewicy! I niech my żyjemy!

Powtarzajmy sobie ten okrzyk. W nim kryje się wielka treść.

JAN SZELĄG



BLASK STALINGRADU

Napisał: D. J. PŁOŃSKI

— A Rosjanie? — zapytał Roosevelt.
— Rosjanie! — Akcent lekceważenia zabrzmiał w głosie Churchilla, lecz natychmiast, widząc to było, opamiętał się. — Oczywiście, okazali się o wiele silniejsi, niż kiedykolwiek śmieliśmy na to liczyć. Ale kto może powiedzieć, na jak długo jeszcze.

— A więc sądzi pan, że nie potrafią wytrzymać?

— Kiedy Moskwa padnie... Skoro tylko Niemcy będą po drugiej stronie Kaukazu... Gdy opór rosyjski ostatecznie ustanie...

Jest to dialog, który przekazał potomności syn F. D. Roosevelta — Elliott. Rozmowa odbywała się w sierpniu 1941 r. na Nowej Funlandii, gdzie doszło do skutku tajne spotkanie prezydenta USA i premiera brytyjskiego. Stary torys usiłował wysondować u Roosevelta, jakie są zamiary rządu amerykańskiego, a Roosevelt drażnił Brytyjczyka, dając mu do zrozumienia, że pomoc amerykańska będzie Anglię na wszelki wypadek sporo kosztowała...

RECEPTA TRUMANOWSKA

Prawie dwa miesiące trwała już wojna na froncie wschodnim. Hitlerowcy odnosili sukcesy, choć nie tak błyskawiczne, jak tego pragnęli — do Moskwy był jesz-

cze spory szmat drogi. Koła imperialistyczne śledziły z zapartym oddechem początek śmiertelnych zapasów na wschodzie. W przeciwieństwie do szerokiej opinii publicznej, której sympatie były po stronie Armii Radzieckiej — bankierzy snuli swoje własne, inne plany. Najdosadniej wyraził je osławiony Harry Truman, wówczas jeszcze senator. Przyszły prezydent USA dał wyraz stanowisku swoich sfer z cynizmem gangstera: „Jeżeli zorientujemy się, że zwyciężają Niemcy, powinniśmy pomagać Rosji, jeśli natomiast przezwagę zacznie osiągać Rosja, winniśmy przyjąć z pomocą Niemcom; niech się wzajemnie jak najbardziej powybijają”.

Nie inaczej myślały zresztą „sfery” brytyjskie. Lord Brabazon, ówczesny minister lotnictwa, wyraził ze swej strony przekonanie, że najpomyślniejszym jakoby dla Anglii wynikiem zmagania na wschodzie byłoby wzajemne wyczerpanie się i wykrwawienie ZSRR i Niemiec. Nie ulegało przy tym wątpliwości, że krew „rosyjską” wazyli sobie wszyscy ci panowie i lekko, i tanio. W ich sztabach leżały się chytne, choć niedorzeczne plany wyciągania kasztanów z ognia możliwie cudzymi rękami.

BŁYSKAWICA ZAWODZI

Nawet jako przeciwnicy mieli generałowie anglo-amerykańscy ślepe zaufanie do generałów niemieckich. Związkowi Radzieckiemu dawali „co najwyżej jakie dwa do trzech miesięcy życia”. Odpowiadały im najzupełniej prusko-junkierskie doktryny wojenne, sprowadzające się do mirażu „błyskawicy”. A już „wojna totalna” zapierała im dech. Otumanieni pychą swej klasy, nie umieli nawet wyciągać logicznych wniosków z bieżących wydarzeń.

A tymczasem już pierwsze miesiące kampanii nasuwały z całą mocą takie wnioski. Zaatakowana zniechęca Armia Radziecka wytrzymała mężnie pierwszy rypór hitlerowskiej maszyny wojennej, na którą pracował przeciw przemysł całej prawie Europy. Armia Radziecka prowadziła przez cały czas aktywną obronę, a już z początkiem grudnia 1941 r. zadała nieprzyjacielowi potężny cios, kiedy to rozsypała się pod Moskwą legenda o rzekomej „niezwykłości” hitlerowskich hord pancernych, a wraz z nią skompromitowały się teorie „wojny błyskawicznej”, które tak dogadzały imperialistom. Wojska hitlerowskie zostały pobite na centralnym odcinku frontu i odrzucone o 400 kilometrów.

Klęska pod Moskwą nie otrzeźwiła hitlerowskich strategów. Zachęceni tym, że aliansi zachodni ani myśleli o wtargnięciu do Europy (recepta trumanowska działała!), przygotowali nową letnią ofensywę. Jej cechą charakterystyczną było, że hitlerowcy nie nacierali już na całym, prawie 3.000 kilometrów długim froncie, lecz tylko na południowym jego skrzydle. Hitlerowscy generałowie postanowili preforsować kampanię i skoncentrowali na głównym odcinku natarcia ogromne si-

ły. Latem 1942 roku działało przeciwko Armii Radzieckiej ogółem 240 dywizji. Plan hitlerowców polegał w ostatecznej wersji na tym, aby jednym mocnym uderzeniem zająć Stalingrad nad Wołgą, przeciąć w ten sposób ważną arterię komunikacji północy kraju z południem, i posuwając się wzdłuż Wołgi, uderzyć na Moskwę od wschodu. Kierunek stalingradzki stał się więc głównym kierunkiem ofensywy. Dwie wyborowe armie oraz korpus lotniczy Richthofena otrzymały bezpośrednie zadanie zdobycia Stalingradu. Natarcie rozpoczęło się w lipcu — hitlerowcy widzieli się już w Moskwie wczesną jesienią.

TU DOKONA SIĘ PRZEŁOM

Wódz Naczelny Armii Radzieckiej, Stalin, odszyfrował bezbłędnie zamiary nieprzyjaciela. Stalin widział, jak zwykle, dalej i głębiej. Genialny analityk ujmował sytuację w jej całokształcie — a więc nie tylko na froncie, ale i na tyłach. U siebie i u wroga. Zapadła decyzja Wodza. Ślepy i awanturniczy impet hitlerowskiego natarcia pozwalał przewidywać, że wróg stawia wszystkich na jedną kartę i... nie docenia przeciwnika. Tu, nad Wołgą, pod legendarnym miastem, które dwukrotnie przed 24 laty uratowało rewolucję, dokona się przełom w tej wojnie.

Na przedpolach Stalingradu, między Donem a Wołgą, które zbliżają się tu do siebie, tam gdzie przebiega dziś wspaniały Kanał im. Lenina, pierwsza budowla zwycięskiego komunizmu, rozegrała się przed dziesięciu laty gigantyczna bitwa. Wszystkie jej dramatyczne etapy zważył i ocenił zawczasu genialny umysł wielkiego stratego socjalizmu. W bitwie tej zatriumfował też geniusz nowego społeczeństwa, radzieckiego społeczeństwa i jego Wodza. Była to bitwa, jakiej nie znają jeszcze dzieje wojen.

Warunkiem zwycięstwa było utrzymanie za wszelką cenę frontu nad środkowym Donem i samego Stalingradu, do którego parł nie licząc strat nieprzyjacieli — 330 tysięcy wyborowego żołnierza. Bezpośrednia obrona Stalingradu oddana została we wrześniu 62 armii pod dowództwem gen. Czujkowa. I ta właśnie armia, która przez 200 dni i nocy, od 17 lipca 1942 r. do 2 lutego 1943, trwała bez przerwy w bojach, stała się bohaterem Stalingradu. Była ona trzonem specjalnego Frontu Stalingradzkiego i zadaniem jej było utrzymanie miasta.

Stalingrad rozciąga się długim, 50-kilometrowym pasmem nad brzegiem Wołgi, który od strony miasta jest wysoki i urwisty. Jest to półmilionowe miasto przemysłowe i nader ważny węzeł komunikacyjny. Stalingrad, przed rewolucją Carycyn, jest kluczem do centralnych obszarów od południa. Stalingrad nie padnie, Stalingrad stanie się rozstrzygającym przełomem w wielkiej wojnie z faszyzmem. Z rekomendacji Stalina Komitet Centralny Partii wysłał do Stalingradu jako członka Rady Wojennej towarzysza Malenkowa. Z ramienia Kwatery Głównej działał na marsz. Wasilewski, marsz. artylerii Woronow, gen. Watutin i generał-pułkownik Konstanty Rokossowski. Duszą działań jest Stalin.

W STALINGRADZIE

23 sierpnia Stalingrad został w straszliwy sposób zbombardowany. Tysiąc samolotów wisiało przez wiele godzin nad bohaterskim miastem; rozspypywały się w gruzy jego piękne i nowoczesne gmachy, ale fabryki — słynne Zakłady Traktorowe, „Barykady”, „Czerwony Październik” — pracowały bez przerwy. Z murów fabrycznych wyjeżdżały wyprodukowane tu czołgi, wprost na pole bitwy. Załogę ich stanowili robotnicy, którzy je wyprodukowali. W połowie września walki przeniosły się na ulice, ale każdy dom był twierdzą, każdy jego obrońcą bohaterem.

Epopėja stalingradzka obfituje w przykłady tak bohaterskich czynów, takiej pogardy śmierci i ofiarności, do jakich wznieść się może tylko żołnierz oddany na śmierć i życie ojczyźnie. W Stalingradzie przy ulicy Penzeńskiej stoi do dziś wielki, czteropiętrowy dom. Jest to „dom Pawłowa”. Tutaj bronił się przez 59 dni sierżant Jakub Pawłow z kilkunastoma gwardzistami i nie oddał swej twierdzy. W Stalingradzie pokazują z dumą „reduktę Tarakula”. W tym miejscu stał mały domek, którego broniło dwóch strzelców-kaemistów: Jurke Tarakul i Michał Naczynkin. Atakował batalion piechoty z czterema działami, nerkowce rzucali bomby. A jednak dwóch ludzi nie oddało swej twierdzy. Ogniomistrz Michał Chwestancew, członek Partii, pozostał sam jeden z obsługi działka przeciwpancernego i sam zniszczył 6 czołgów. Ranny, rzucił się pod ostatni z granatem przyściśniętym do piersi.

Stalingrad nazywano Termopilami socjalizmu. Stalingrad pokazał też i klasyczne Kanny.

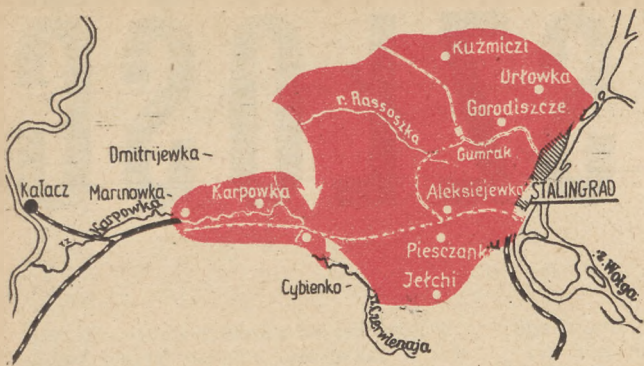
Dnia 7 listopada, w 25 rocznicę Rewolucji, pisał Stalin w swoim Rozkazie Nr 345, że bliski jest już dzień, w którym wróg pozna siłę druzgocących ciosów Armii Radzieckiej. Dzień ten nadszedł. Wczesnym rankiem dnia 19 listopada 1942 roku wojska radzieckie przeszły do słynnej kontrofensywy. Wódz Naczelny Armii Radzieckiej obmyślił i przygotował plan otoczenia i zniszczenia wojsk nieprzyjacielskich, który uważany jest za klasyczny.

Generalissimus Stalin uchwycił z niezwykłą jasnością wszystkie decydujące elementy sytuacji. Oto w ciągu roku wzmocniło się znacznie zaplecze frontu. Społeczeństwo radzieckie pod wodzą Partii oddawało wszystkie swe siły Armii. Jednocześnie wzmocniła się, zahartowała w bojach i uzupełniła Armia. To umożliwiło skupienie dużych sił w rejonach zaplanowanego uderzenia. Należy podkreślić z naciskiem, że pod Stalingradem dowództwo radzieckie nie miało nigdy ogólnej przewagi liczebnej nad nieprzyjacielem. Ale tam, gdzie Stalin wyznaczył główne uderzenia — przewagę taką stworzone.

W tym samym czasie rezerwy hitlerowskie kurczyły się. Wywiad radziecki ustalił, że w zgrupowaniu faszystowskim, uderzającym z ślepą zaciekłością na Sta-



Główne i pomocnicze kierunki natarcia wojsk radzieckich pod Stalingradem w listopadzie 1942 r.



Operacja ścięcia zachodniego występu otoczonych pod Stalingradem wojsk hitlerowskich w styczniu 1943 r.

lingrad, nastąpiły osobliwe, lecz oczekiwane przez Stalina ruchy. Dywizje niemieckie skupione zostały w centrum, a na skrzydłach znalazły się przeważnie dywizje włoskie i rumuńskie. W październiku przypominało zgrupowanie hitlerowskie ociężałego drapieżnika, który kłami worał się zaciekle w miasto, a swoje boki osłaniał stępałymi pazurami, nie mającymi już ochoty i siły do szarpania. Na to liczył, tego oczekiwał Stalin. Przeciwwuderzenia radzieckie pójda na osłabione skrzydła z zadaniem przerwania ich od północy i południa, a następnie zwarcia pierścienia okrążającego wokół sił głównych przeciwnika.

Czy dowództwo hitlerowskie nie zauważyło koncentracji sił radzieckich naprzeciw swoich skrzydeł? Czy nie rozumiało, że Front Doński na północ od Stalingradu jest poważnym niebezpieczeństwem? Zasiępniony w swych planach wróg nie pojmował jednak sytuacji. Cała tepota strategii imperialistycznej znalazła swe pełne odbicie w awanturничym przedsięwzięciu stalingradzkim.

Wróćmy jednak raz jeszcze do dramatycznego obrazu walk w samym Stalingradzie. Ich napięcie było ogromne. Nieprzyjaciół przedsięwziął cztery ogólne ataki, z których każdy trwał po kilka dni i w których uczestniczyło do 10 dywizji wspomaganych setkami czołgów. Około 100 szturmów przeprowadzili hitlerowcy siłami do trzech dywizji, a ponadto setki szturmów siłami mniejszymi, zawsze jednak w asyście broni pancerniej i lotnictwa. To było piekło, które oślepiło, jego sprawców. Ogółem 25 dywizji przeciw topniejącym siłom kilku, stanowiących armię gen. Czujkowa. Ale rozkaz stalinowski nakazywał żołnierzom radzieckim wytrwanie — rozum wielkiego stratega zakazywał mu wsparcia bohaterów siłami gromadzących się odwodów. Wróg nie powinien się opamiętać. Niech mu się zdaje, że dobija do celu. Cała siła musi być skoncentrowana do natarcia, które ruszy na skrzydła nieprzyjaciela. Któż opisał dramatyczność tej sytuacji! Kto wczuje się w serce Wodza, któremu drogie jest każde życie radzieckiego patrioty!!!

19 LISTOPADA 1942

Rankiem 19 listopada nad Wołgą, Donem i stępem pokrytym półmetrową warstwą śniegu rozlewała się gęsta mgła. W senną martwość brzasku wdarł się nagle przejmujący syk artylerii rakietowej. Słynne „katiusze” rozpoczęły nawałę ognia, w której przemówił „bóg wojny” — artyleria radziecka. Przygotowanie artyleryjskie trwało z krótkimi przerwami od 7.30 do 8.50. Teraz ruszyły czołgi i piechota. Do natarcia runęło lewe skrzydło Frontu Południowo-Zachodniego i prawe skrzydło Frontu Dońskiego. Na czele Dońskiego stał Konstanty Rokossowski. Było to potężne i doskonale zorganizowane uderzenie. Jak rozwarłe palce ogromnej dłoni, z palcem wskazującym wycelowanym w miasteczko Kałacz, przerwały się atakujące wojska przez rumuńską 3 armię i trzy dywizje niemieckie.

Wieczorem tego dnia były one już o 25 kilometrów od swej podstawy wyjściowej. Szerokość wylomu wynosiła 30 kilometrów. W ten wylom wlewały się szerokim strumieniem jednostki pancerne i kawaleryjskie, prac na południowy wschód.

Jeszcze nie ochłonał wróg na swoim lewym rozbitym skrzydle, kiedy następnego dnia, 20 listopada, przeszły od południa do natarcia wojska Frontu Stalingradzkiego, stosując tę samą taktykę, co ich towarzysze z północy. Stojące tu w obronie pułki 6 rumuńskiego korpusu zostały dosłownie zmiecione. I znowu główny kierunek natarcia wskazywał na Kałacz, a boczne wbijały się w tyły nieprzyjaciela.

Rankiem 23 listopada nacierające wojska radzieckie spotkały się w Kałaczu. W otoczonym kotle o powierzchni 1.500 kilometrów kwadratowych i obwodzie 400 kilometrów znalazło się 330 tysięcy żołnierzy hitlerowskich, 22 dywizje!

W KOTLE

Operacyjne okrążenie centralnego zgrupowania wojsk hitlerowskich pod Stalingradem zostało dokonane. W toku walk rozbito 11 dywizji piechoty, dwie dywizje pancerne i 1 dywizję kawaleryjską. 95.000 żołnierzy nieprzyjacielskich poległo, 72.400 dostało się do niewoli. W ręce zwycięzców wpadł ogromny materiał wojenny. Ale to był tylko początek klęski niewczesnych zdobywców Stalingradu. Sukces operacyjny został przeobrażony w osiągnięcia strategiczne, które oznaczało gruntowny i decydujący przełom w przebiegu wojny. Stalingrad stał się zmierzchem armii hitlerowskiej. Po zaciągnięciu pętli wokół otoczonego zgrupowania hitlerowskiego rozpoczęły się niezwykle skomplikowane i napięte działania, które uniemożliwiły przedarcie się odsieczy i odepchnęły front zewnętrzny o 300 kilometrów od kotła. W wyniku walk grudniowych, w ciągu których przeszedł

również do natarcia front pod Woroneżem, nieprzyjaciół poniosł nowe klęski, tracąc 36 dywizji, 175.000 zabitych i 137.000 jeńców.

Ostatnim aktem gigantycznej bitwy, trwającej ponad 5 miesięcy, było zlikwidowanie otoczonego zgrupowania von Paulusa, który odrzucił na rozkaz Hitlera wezwanie do poddania się na warunkach honorowych. Bohaterem tej końcowej fazy bitwy były wojska Frontu Dońskiego pod wodzą Konstantego Rokossowskiego. W zacieklonych walkach trwających od 10 stycznia do 2 lutego 1943 r. marszałek Rokossowski rozciął na części, spychał i likwidował 330-tysięczną masę świetnie uzbrojonych wojsk, które mamiono nadzieją rychłej odsieczy. W tym czasie armia gen. Czujkowa ciągle jeszcze trwała w walce. Dopiero 26 stycznia żołnierze Czujkowa zetknęli się z żołnierzami Rokossowskiego w samym mieście. Bitwa zbliżała się do końca. Dnia 2 lutego przebrzmiał ostatni wystrzał, zabrzmiął pieśń. 91.000 hitlerowców było jeńcami — reszta zginęła.

BLASK STALINGRADU

Bitwa pod Stalingradem zakończyła się wspaniałym zwycięstwem radzieckim i stała się punktem wyjścia ofensywy całofrontowej od Leningradu po Kaukaz. Armia Radziecka ujęła teraz pełną inicjatywę działań w swoje ręce i nie wypuściła jej już aż do końca, aż do zupełnego rozgromienia i zlikwidowania armii hitlerowskiej.

Począwszy od Stalingradu strategiczne mistrzostwo Armii Radzieckiej rozbiły się pełnym blaskiem. Żadna operacja wojsk hitlerowskich czy też alianckich w toku wojny nie mogły się porównać z działaniami wojsk radzieckich. Słynne „kotły”, świetnie zorganizowane ude-

rzenia wielofrontowe ukazały zdumionemu światu geniusz wojska nowego typu, zdecydowaną przewagę Stalinskiej nauki wojennej nad strategią imperializmu.

Stalingrad okrył żałobą hitlerowskie Niemcy, a dla narodów okupowanych był jutrenką nadchodzącej wolności. Polska Partia Robotnicza w kraju od razu słusznie oceniła zwycięstwo pod Stalingradem, jako potężny i niebywały przełom w toku wojny. PPR wezwała Polaków do wzmożonej walki z okupantem. Natomiast reakcja odczuła boleśnie klęskę armii zaborców. „Byłoby z naszej strony niesprawiedliwością, gdybyśmy nie podkreślili zdumiewającej wytrzymałości rozbitek armii Paulusa” — pisał delegacki „Biuletyn Informacyjny” z 28 stycznia 1943 r. Cała sympatia zdrajców spod znaku delegatury była po stronie hitlerowców, ale światowa opinia publiczna z entuzjazmem przyjmowała wieści o przełomowym zwycięstwie nad Donem i Wołgą. Autorytet ZSRR wzrósł niesłychanie.

Epopeja i zwycięstwo stalingradzkie było poważnym ostrzeżeniem dla imperialistów. Ale jakie stąd wyciągnęli wnioski? Trumanowskie. W miarę klęsk hitlerowców na froncie wschodnim alianci zachodni w myśl trumanowskiej recepty usiłowali podtrzymać za wszelką cenę hitlerowską maszynę wojenną. Toczyły się tajne rokowania z Niemcami. Armia Radziecka pokrzyżowała jednak wszystkie te machinacje. Opromienione zwycięstwem stalingradzkim wojska radzieckie kroczyły od sukcesu do sukcesu.

Stalingrad jest i dziś ostrzeżeniem pod adresem amerykańskich spadkobierców Hitlera. W blasku stalingradzkiej wiktoryi nowy świat, świat pokoju i przyjaźni między narodami, wykuwa niezwykłe podstawy ludzkiego szczęścia — fundamenty komunizmu, który urzeczywistnia już Związek Radziecki.



Każdy dom obleżonego Stalingradu przekształcono w fortecę. Walki toczyły się w piwnicach i na strychach czasem linię frontu stanowiła klatka schodowa. Żołnierze radzieccy walczyli z bezprzykładnym bohaterstwem



Fabryka „Czerwony Październik”, podobnie jak Zakłady Traktorowe i fabryka „Barykady”, pracowały w mieście do ostatniej chwili. Później — każdy oddział fabryczny, każdy budynek fabryki przekształcono w punkty oporu.

PODRÓŻ W PRZYSZŁOŚĆ

ANDRZEJ BRAUN

„Wisto moja, Wisto szara,
co tak smutno płyniesz?
Skąd tej wody nazbierałaś,
mów, nim w morzu zginiesz?...”

STARA piosenka ludowa uchwyciła ten sam problem, który przyświecał naszej podróży. Pytanie, może ktoś powiedzieć filozoficzne, ale jak cała ludowa mądrość, na wskroś praktyczne. Tkwi w nim pragnienie wyjaśnienia krzywdy i niedoli, jaką Wisła, królowa naszych rzek, od wieków sprowadzała na mieszkańców jej dorzecza na całej, tysiącokilometrowej niemal długości. Powodzie, zalewy, zmarnowane dobytek, głód, a często i śmierć w nurtach wzburzonej wody — oto co odzywa się gorzkim wyrzutem w słowach pieśni.

Podróż nasza ma nie tylko dać odpowiedź na pytanie zawarte w pieśni ludowej. Jest to podróż w przyszłość, podróż zgodna z kierunkiem krążenia sił przyrody, podróż po szlaku wody spadłej w Karpatach i spływającej do morza. Odbywamy tę podróż w czasie, gdy naród mieszkający w orbicie tego krążenia, lud polski budujący socjalizm, zrozumiał i poznał prawa przyrody po to, ażeby wykorzystać je dla szczęścia człowieka. Dlatego jest to podróż w przyszłość, chociaż wcale nie fantastyczna.

* * *

Rozpoczynamy ją w górzystych okolicach Podkarpacia. Jest szary, deszczowy dzień. Bure chmury nisko zwisają nad dolinami. Wydaje nam się, że jesteśmy na płaskiej równinie — ciemne, lasem porośnięte zbocza gór giną w szarym тумanie chmur i deszczu jak gdyby ścięte białą mgłą. Deszcz leje z nie-
spotykana gwałtownością. Wszystkie kamieniste drogi górskie zamieniają się natychmiast w koryta potoków. Żółte, mętne strumienie łączą się ze sobą w większe rzeczki, szorujące z bulgotem w doliny. W ciągu jednej nocy rzeki te rozlewają się, występują z brzegów, jak wielkie wodospady porywają wszystko na drodze. Już z trzaskiem wali się drewniany most, już chatki we wsi stoją do pasa w wodzie. Wszystko to płynie do Dunajca, Raby, Soły, a później do Wisły. Roczne opady deszczowe w Tatrach są blisko czterokrotnie większe niż w pozostałych częściach Polski. Często-
kroć w maju potrafi w górach spaść do 30 cm wody na raz. Oto widzimy taką 30 cm falę spływającą raptem w doli-

ny. Powódź! Z wielkich, bystro płynących rozlewisk wodnych sterczą jak miotły drzewa i dachy chałup. Komunikacja przerwana, bydło tonie...

Pędzimy samochodem na trasie Mysłowice — Limanowa — Nowy Sącz. Dzień jest pogodny. Jesienne słońce złotoci granatowe zbocza gór, pocętkowanych najpiękniejszymi kolorami żółknących liści, złota, rdzy, miedzi. W cieni-
nistych żlebach chłód i wilgoć. Kopulaste wzgórza Podhala biela się rozsypiskami góralskich wiosek, drewnianych kościółków, jakby ktoś góry opryskał wapnem. Lasy świerkowe spływają ze szczytów, niby strzyżone dywany. Droga, jak to górską drogą, kamienista, wiję się wyschłymi łóżyskami strumieni. W lesie, wysoko, omszała tama z głazów spojonych cementem oraz kamienne koryto z mostkami i stopniami chronią drogę od spadających pod kątem prostym bystrzych strumieni.

Wisła zbierająca wodę z potoków górskich niesie ze sobą masę rumowiska, żwiru i tzw. „pospółki”, które stopniowo uciiera na piasek, zamulający jej dzikie koryto i uniemożliwiający wytyczenie stałego nurtu. Zabudowa tych potoków, oraz budowa sztucznych zbiorników zatrzymują część tego piasku. Na terenie samego Krakowskiego znajduje się 16 tys. km bieżących potoków w stanie dzikim; z tego zaledwie 7% ujęto ubezpieczeniami. Potoki te o bystrzym prądzie z chwilą przyboru wody podmywają szosy, porywają mosty, niszczą wsie.

Samochód zatrzymuje się. Oto Kasinka Mała, dzika wieś góralska. Spiętrzone na zboczu chałupki, małe młynki nad potokiem. Droga przez wieś jest jednocześnie strumieniem. A obok, w środku wsi, wewnątrz tego całego tłoku rozkopana ziemia, wre budowa kamiennej tamy i żłobu sprowadzającego wodę w dół, w poprzek szosy. Gdy zaschnie koryto z miejscowego kamienia i cementu, bystra woda raz na zawsze przestanie porywać ochłapy góralskiego gruntu, podmywać drewniane chaty, zalewać kościółki i modłace się na sumie gaździny. Oto technika, oto dzień dzisiejszy wchodzi w odległe wioszczyzny góralskie. Górale pracują sami na budowie. Skrzypią furmanki zaprzęgane w krowy. Kręcą się dziecinne kółka przy młynkach nad potokiem. Mimo budowy tamy nic tu nie można ruszyć. Każda chałupka, każdy młynek musi pozostać na swoim miejscu. Szkoda naruszać malowniczość krajobrazu.

Jako przykład dobrze uregulowanego potoku może służyć Smolnik pod Nowym Sączem. Całe koryto jego ujęte jest w tamy i progi. Rzeka spływa jakby po schodach. Co kilka metrów betonowe, poprzeczne żebra, płaskie, nie wystające nad wodę, z ostrymi kamieniami, które hamują prąd, wmurowane jak grzebienie w cementowe dno. Jeśli wgłębienie na szczycie tamy, tzw. „gardło”, jest za wąskie i może grozić, że woda, prze-
walając się przez koronę, ominie tamę lub rozmyje jej część ziemną, dla poszerzenia „gardła” robi się tamę półkolistą. Płynące w szerszych, płaskich dolinach kamieniste strumienie reguluje się przy pomocy jazów (tam otwieranych), skrzyń z siatki drucianej, wypełnionych kamieniami i ze zwykłej faszy-
ny. Tak to wygląda mrówcza praca przy obudowywaniu potoków górskich.

* * *

Jedziemy dalej piękną drogą nad jeziorem Rożnowskim. Spadziste szczyty zalesionych gór przegładają się w srebrzystym lustrze kiszkowatego jeziora. Krajobraz jak w Szwajcarii czy północnych Włoszech. Świerkowe, spadiste cypły wybiegają z obu stron w wodę. Szosa białą nitką oplata zbocze nad jeziorem. Podkarpaciu naszemu brakowało jezior dla pełni piękności. I oto z powodów bynajmniej nie turystycznych powstaje sztuczne pojezierze karpackie zapoczątkowane Rożnowem. Rożnow to pierwszy ze zbiorników górskich zasila-
jących Wisłę. Spiętrzenie wody Dunajca utworzyło sztuczne jezioro, zatrzymując część niszczącej fali powodziowej.

Samochód pędzi dalej. Krętą drogą, po piętnastu kilometrach dojeżdżamy do Czchowa poniżej na Dunajcu. Tutaj rozlewa się drugie piękne jezioro, otoczone górami granatowymi od świerkowych lasów. Jest już zachód słońca, samochody przeprawiają się promem przez jezioro. Woda czerwieni się ogniem od zachodzącej kuli słońca. Będzie wiatr. Tama w Czchowie zatrzymuje szczytową falę Rożnowa. Dalszy zbiornik mamy na Sole w Porąbce. Czwarty zbiornik budujemy w Goczałkowicach na małej Wiśle. Magazynować on będzie 73% rocznego przepływu wody z przeznaczeniem jej na zaopatrywanie wiecz-
nie spragnionego kolosa — hut śląskich. Wisła, jedyna ze wszystkich większych rzek europejskich, pozostaje do dziś nieuregulowana, a w niektórych swych miejscach po prostu dzika. Pewne roboty regulacyjne przeprowadzono w b. za-
porze austriackim, względnie uregulowana jest tzw. „Wisła pruska”, od Silna pod Włocławkiem w dół. Natomiast cała środkowa Wisła b. zaboru rosyjskiego, oprócz odcinka Warszawy, pozostaje w tym stanie, w jakim płynęła przed wiekami. Rząd carski chciał zrobić z łach wiślanych zaporę strategiczną. Dwudzie-
stolecie niewiele zmieniło ten stan rzeczy. Toteż w okresie powodzi wiosen-
nych rzeka rokrocznie zalewała wsie i doliny, a w okresie letnim spadała nie-
raz do 70 cm wody. Samę powódź na Wisłę kosztują nas rocznie 200 mil. zł. Jakże są tego przyczyny? Jedną z nich widzieliśmy. Jest nią zmienność opa-
dów deszczowych w górach i zmienny stan wody w dopływach górskich. Środ-
kowa, najdłuższa Wisła dla regularnego kursowania barek o pojemności do 1.000 ton musi mieć stałą głębokość oko-
ło 3 m. Uzyskać to można drogą równo-
czesnej regulacji i koncentracji nurtu oraz zasilania wodą ze specjalnych zbiorników, gromadzących jej nadmiar w okresach opadów. Dla uzyskania sta-
łej potrzebnej głębokości i podnoszenia poziomu wody na czas suszy, musimy mieć zmagazynowane w zapasie 3 mi-
liardy m³ wody. Musimy uchwycić ogromną, niszczącą i marnującą się bez-
pożytecznie falę powodziową i wypusz-
czać ją stopniowo, aby olbrzymi poten-
cjał energii wodnej obrócić na pożytek człowieka. Do tego celu służą sztuczne zbiorniki i zapory.

Zacznijmy od górskich dopływów Wi-
sły. W takiej np. Sole w okresie powo-
dzi przepływa tysiąc razy więcej wody na sekundę, niż normalnie. Dunajec pod Rożnowem osiąga podobny przybór wo-
dy. Zatrzymanie tych fal powodziowych wpływa na zwiększenie siły i wytrzy-
małości wszelkich robót regulacyjnych, jakie w tej chwili prowadzimy na Wi-
śle. Różnica największego i najmniej-
szego spływu wody na Wisłę wynosi pod Warszawą 1 do 70, a pod Toruniem 1 do 30. Z tych 3 miliardów m³ wody, po-
trzebnych dla regularnego spływu i żeg-
lugi na Wisłę, w dotychczas zbudowa-
nych zbiornikach mamy zaledwie 10%.

Toteż już niedługo Polska Ludowa rozleje swe nowe pojezierze błękitnymi taflami w pięknych dolinach podkarpac-
kich. Betonowe zapory i jazy zacisną swe mądre ręce na szczytach burzliwych, zdradzieckich rzek górskich. Powstanie zbiornik powyżej Porąbki dostarczający również wodę dla kopalń i przemysłu śląskiego. Razem z Porąbką zbiornik ten zlikwiduje ostatecznie wszelkie po-
wodzie na Sole. Powstanie zbiornik na Racie. Powstanie przepiękne, ogromne jezioro w Czorsztynie, w rejonie Pie-
nin, o pojemności 300 mil. m³. Będzie to zbiornik powodziowy i energetyczny. Wreszcie powstać ma potężny zbiornik na Sanie. Już teraz prowadzone są tam badania i studia. Zbiornik ten miałby duże znaczenie nie tylko powodziowe, ale i energetyczne, ponieważ w okoli-
cach tamtejszych nie ma żadnych in-
nych źródeł energii dla przemysłu. Resztę dla owych planowanych 3 mi-
liardów m³ uzyskalibyśmy ze zbiorni-
ków, a raczej sztucznego morza na Wiśle środkowej, ale o tym będzie mowa w dalszym ciągu naszej podróży. Zmagazynowanie takich mas wody na głównych dopływach Wisły wystarczy-
łoby na zapewnienie stałej żeglowności dla 1000-tonowych barek, a jednocześnie ujęłoby w żelazobetonowe karby i zlikwidowało wszelkie powodzie na Wi-
śle. Chodzi nam jednakże nie tylko o względy komunikacyjne. Wspominając o energii dla przemysłu, dotykamy dru-
giego, równie kluczowego zagadnienia, siłowni elektrycznych, które staną na wszystkich tamach i zaporach.

Nie popełnimy wielkiej przesady, jeśli powiemy, że energia cieplna staje się przydatkiem. Pamiętajmy, że do 95% u-
zyskiwanej tą drogą energii „ucieka ko-
minem”. Mogliśmy przekonać się o tym na naszym statku, pocziwym „Dunaj-
cu”, drogą prostego rachunku zużycia węgla. Tymczasem turbina wodna po-
trafi wyzyskać 95% energii, tracąc za-
ledwie 5%. Poza tym energia cieplna to są głównie „szczyty” uzyskiwane długo po rozpaleniu kotła, gdy natomiast en-
ergia wodna osiąga swoje „szczyty” wkrót-
ce po naciśnięciu odpowiedniego guzika, uruchamiającego turbinę. Możliwości e-
nergetyczne rzek polskich obliczane są na 10 miliardów kWh (kilowatogodzin). Istniejące i zaplanowane budowy (włącznie z Bugiem) dadzą około 2 miliardów kWh. Górne zbiorniki, jak Czorsztyn, czy zbiornik na Sole, wzmacniać będą poza tym stałe produkcje energetyczne na wszyst-
kich niższych stopniach, jak Rożnow czy Porąbka. Tak więc linie wysokiego na-
pięcia opłota naszą ziemię, potęgując mi-
lionkrotnie siły człowieka.

Wreszcie zbiorniki te stanowią będą nie tylko broń defensywną wobec ży-
wiołu wodnego, jako obrona przed po-
wodziami. Staną się one podstawą dla ofen-
sywy człowieka, dla rolnictwa i kultu-
ry. Powstaną irygacje, deszczownie, po-
la skrapiane sztucznie za pomocą syste-
mu rur wodnych i rozpylaczy. Na ja-
łowych ziemiach zakwitnie warzywni-
ctwo, sady i ogrody. Odmłodnieje i za-
zieleni się nasza Ojczyzna jak nigdy przedtem.

Jest głucha noc, gdy wracamy do Kra-
kowa. Samochód cicho szumi na gład-
kim asfalcie szosy. Minąwszy Wieliczkę, widzę daleko na północy, za rzeką, w ciemności wielkie rozsypisko iskier.



Rzeka spływała jakby po schodach. Co kilka metrów betonowe, poprzeczne żebra...

WIELKIE BUDOWLE WODNE I ENERGETYCZNE W BIEŻĄCYM DZIESIĘCIOLECIU



Do 1960 roku połączymy ważne ośrodki przemysłowe systemem dróg wodnych długości 1670 km. Wybudujemy elektrownie wodne łącznej mocy 500.000 kilowatów o rocznej produkcji energii elektrycznej 2 miliardów kWh. Zabezpieczymy przed powodzią 690 tys. ha. Nawodnimy 220 tys. ha.

Światła, jak mrowie, migocą rozsypane w polach na przestrzeni przeszło 20 km. Pytam się szofera, co to być może. — Huta — odpowiada, nie odrywając oczu od drogi. Nowa Huta. Widok fantastyczny! Bo przecież pomyślcie, że jeszcze trzy lata temu było tam głuche pole, a teraz rozpościera się jedno wielkie centrum życia. Nikt, kto widział, nie zapomni tych światła. One są dowodem, że każdy projekt w tym kraju staje się rzeczywistością. One są gwarancją naszych planów przekształcenia Ojczyzny.

* * *

Szarym rankiem październikowym statek nasz odbija od mostu Dębnickiego w Krakowie, spływając Wisłą w dół. Woda jest mętna, przybrała w ciągu kilku ostatnich dni. Przy tym stanie wody mamy nadzieję przepłynąć przez najdziksze i najpiętsze rozlewiska rzeki. Stare kościoły krakowskie zacierają się, błękitnieją. Koła statku biją monotonicznie łopatkami o wodę. Wisła poniżej Krakowa przypomina kanał: równe brzegi, dość łagodne zakręty, woda wysoka. Po obu brzegach posuwają się do tyłu łąki. Spoglądamy na plany i mapy. Statek dygoce równomiernie. Z oszklonej kabiny na pokładzie rozciąga się widok na oba brzegi Wisły. Inż. Zygmunt Mikucki, dyr. Okr. Dyr. Dróg Wodnych — Kraków, objaśnia nam projekty większych budowli na Wiśle.

Tymczasem statek nasz, ostrożnie manewrując, skręca z Wisły we wlot do portu Nowej Huty. Z basenu portowego wybrano 700 tys. m³ ziemi. Basen jest wielki, zamknięty brunatnym od rdzy nabrzeżem. Tędy iść będzie transport większych elementów kombinatu, które przypłyną z ZSRR morzem do Gdańska, a których kolej nie zdoła przewieźć. Tutaj zamontowany zostanie potężny dźwig „Orton”.

Spiętrzenie wody między zaporami pozwoli pompom na swobodne pobieranie jej dla huty. Nowa Huta wchłaniać będzie prawie tyle wody, ile płynie jej normalnie w Wiśle. Po ochłodzeniu pieców woda ta wróci do rzeki.

Robota wre tam bez przerwy. Do dziś w porcie wydobyto w sumie 1,5 mil. m³ ziemi, wykonano 33 tys. m³ betonowania oraz 46 tys. m³ faszynowania. Fundamentowany jest on przy pomocy betonowych studni, wpuszczanych w płynną kurawkę dna i zalewanych cementem. Wysokie wieże jak mostki kapitańskie sterczą wysoko nad wałami wykopanej gliny. Ludzie w gumowych butach walczą z wodą i szlamem. Megafony ryczą, tak jak to w Nowej Hucie. Potężna pogłębiarka ssąca (tzw. „refuler”) wypycha muł z wodą na wysoki brzeg. Woda spływa, muł zostaje. Para, dym, szcęk mechanizmów. Oto obraz budowy, która jutro ogarnie całą Wisłę. Dla orientacji wy-

mienimy, że koszt pierwszego odcinka kanalizacji Wisły od Oświęcimia do Krakowa wyniesie ok. 400 mil. zł.

* * *

Nasz dymiący „Dunajec” sunie szparoko wśród trawiastych, niezbyt odległych brzegów. Potem pojawiają się wikliny, rzeka rozlewa się. Stada dzikich kaczek krąży wypłoszone przed nami. — Mój Boże, ileż to mięsa się marnuje — powtarzamy, patrząc na nie z żalem. Są poza strzałem. A Wisła staje się coraz szersza. Tutaj już zaczynają się problemy regulacji i koncentracji nurtu. W dyrekcji krakowskiej zastosowano do regulacji krótkie tamy poprzeczne, wybiegające w nurt, tzw. „ostrogi”. Tamy te zakreślają projektowane koryto i przypieszczają zamulanie przestrzeni między nimi, czyli tzw. „kolmatację”. Pod Nowym Korczynem i Szczucinem napotykamy płaskie krypy, z których robotnicy zrzucają i zatapiają w oznaczonych miejscach faszynowe walce, o przekroju 0,75 m, napełnione ziemią. Z takich poprzecznie ułożonych walców powstaje podwodna ostroga. Wierzch umacnia się faszyną. Wykonano już 45 tys. m³ tam takich walców. Wynalazca tego systemu, kierownik rejonu Tarnów, inż. Feliks Łowczyński, objaśnia nam i żywo broni swej metody wobec dyr. Okr. warszawskiego, inż. Tyski, który nie jest jakoś przekonany do tego systemu. Inż. Łowczyński napisał specjalny artykuł na ten temat do „Gospodarki Wodnej”.

— Stosujemy to od 1948 roku i dotychczas tylko jeden walec spłynął z wodą — mówi z zapałem.

W ujściu Wisłoki przesiadamy się na drugi statek, większy, „Wandę”. Następnego dnia dopływamy do Sandomierza. Wisła, cała w wiklinach, nie wydaje się tu węższa niż pod Warszawą. Na wysokim, polnym brzegu leży piękny Sandomierz. W słońcu bieli się miasteczko, kościoły, stare wieże i renesansowy ratusz. Gdzie spojrzysz, woda rozlana wśród wikliny, na wzgórzach grusze. Spadł krótki deszcz i błada, siedmio-barwna tęcza zabłysła nad polnymi grzami i starym Sandomierzem.

Dochodzimy do ostatniego wielkiego dopływu górskiego Wisły — Sanu. Woda po deszczach jest wysoka. San toczy żółtą, zamuloną falę, która przez wiele kilometrów wyraźnie oddziela się od wody wiślanej. Płyną połamane gałęzie, okruchy drzewa. Same widły Sanu i Wisły są płaskie, zatopione w gęstych wiklinach.

Od ujścia Sanu kończy się jednolite koryto Wisły, a zaczyna zupełnie dziki odcinek, pełen wysp, kęp, piachów i rozlewów. Woda teraz, przy większej fali, rozciąga się jak pod Płockiem. Zaczynamy oceniać ogrom pracy, jaki nas czeka, ażeby tę Wisłę zmienić na żeglowną drogę. Mijamy piaszczysty, urwisty brzeg, stary biały kościół z czerwonym dachem, bielone domki miasteczka. Oto tu zaczynamy wpływać na teren przyszłego ogromnego zbiornika, który załaje rozległy odcinek Wisły. Tu stanie przecinając koryto rzeki, potężna tama. Oba brzegi wysokie, kopulaste, niezarośnięte. Wapienne, brudno-szaro-żółte usypiska. W głębi tarasowo zbiegające pola na wysokich wzgórzach. Czasem łukowate, urwiste brzegi, świeżące żółtym piaskiem, gdzie indziej nędzne chałupki przyklepione do zboczy. Oto krajobraz typowo polski, środkowa Wisła na pograniczu Kielecczyny i Lubelskiego. Odtąd w górę, aż do ujścia Sanu, wybiega szeroka na kilometr dolina, wyższe brzegi cofają się. To tutaj rozleje się zalew, sztuczne „morze wiślane”. Elektrownie i kanały obsiadają brzegi. Nawodniona ziemia buchnie zielenią. Potężne turbiny chlusną światłem... Ogarnia nas wzruszenie, jakbyśmy patrzyli na nowy akt tworzenia świata, jakby tysiącletnie procesy geologiczne odbywały się na naszych oczach. Patrzymy na tę dolinę tak, jak wszyscy jej mieszkańcy, a jednak widzimy coś zupełnie innego, dostrzegamy tysiąc razy więcej, widzimy przyszłość. Czujemy się wielcy i silni, uświadamiamy sobie potęgę człowieka socjalizmu.

Oto miasteczko rozsypane jak białe kamyki na wysokim brzegu. Miasteczko od wieków zrosnięte z Wisłą, która nagle zmieniła swą postać. Uświadamiamy sobie, że socjalizm — to nowa epoka w historii świata, w jego geografii i przyrodzie. Wystarczy zastawić to, co będzie — z tym, co było. Oto odwieczne wczoraj; Wisła szoruje pod kilkumetrowym, gliniastym brzegiem i rwie brunatną, żyzną glinę do wody,

Podjęte zostaną wielkie budowy, które zmienią zasadniczo warunki rozwoju całych obszarów naszego kraju. Rozpoczniemy budowę wielkich zapór wodnych i kanałów żeglownych, wielkich elektrowni na Wiśle i Bugu, które umożliwią zelektryfikowanie zacofanych połaci kraju. Wykorzystanie naszych zasobów wodnych do melioracji łąk i pastwisk oraz nawodnienia gruntów ornych pozwoli na znaczny wzrost urodzajów i rozwój hodowli.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

podcina ją, jak nóż. Widać brzeg, poderwane do połowy sady. Ludzie rozbierają na brzegu chałupy podmywane przez wodę. Widzimy bezsens, anachronizm „dzikiej Wisły”, brak wszelkiej regulacji i umocnień.

Płyniemy dalej. Wszędzie tu rędzino-we, wapienne kamieniska pod brzegiem. Wyżej gdzieś odśladają się skałki brudno-żółtego koloru. Jesteśmy na środkowej Wiśle. Mamy przed sobą typowy krajobraz: nizina — ogromne rozlewisko Wisły, niziutkie, ledwie widoczne brzegi, szerokość jednej tafli wodnej na przeszło kilometr. Mimo wysokiej wody błyszczą wielkie łąchy piasku, widzimy kilka koryt jednocześnie, nurt zakreca ciągle to z jednego boku, to z drugiego, to z tyłu. Sternik z trudem rozpoznaje drogę poprzez ten labirynt wysp. Statek krąży serpentynami wśród wikliny. Okolice te, to bogata nizina opolska. Hen, z dala, błękitnieją wzgórza. Brzeg przypomina jedną kreskę, najeżoną niziutkim żywopłotem dalekich topól i gruszy. Na tym terenie rozleje się największe morze — zbiornik. Ta ogromna masa wody, zmagazynowana na cały rok, zapewni stały poziom Wisły aż po ujście do morza. Ten zbiornik połknie wszelkie, największe nawet powodzie.

Przesiadamy się na kolejny statek „Inż. Cwikiel” i płyniemy dalej w dół rzeki. Kopulaste brzegi podnoszą się zbliżając się do siebie. Łukowate urwiska świecą żółtawo. W zachodzącym słońcu patrzymy w górę rzeki. Czarne, wysokie brzegi zbliżają się do siebie, tworząc gardło, przez które otwiera się widok na niski, bezkresny rozlew. Tu stanie tama, tam będzie jezioro. Oto przyszedł polski Dnieprstroj.



Wisła cała w wiklinach nie wydaje się tu węższa niż pod Warszawą. Na wysokim polnym brzegu leży piękny Sandomierz.



„Pociąg” na scenie MCHATu. Scena z odsłony II — od lewej: Wierszynin (W. Kaczałow), Pieklewanow, Znobow.

POCIĄG PANCERNY

WSIEWOŁOD IWANOW

AKT I, ODSŁONA II.

(Brzeg oceanu. Urządzenia portowe, żurawie, dalej — molo. Jeszcze dalej — światła okrętowe. Szyny dochodzą prawie do samego morza. Wieczór. Zapłonęła latarnia. Spacerują tylko nieliczne pary zakochanych i dla nich najwidoczniej gra na flecie MISZA, ubogi i chory student. Misza siedzi na knechcie obok jakiejś kotwicy i zwoju grubego łańcucha. Z przeciwległej strony wchodzi PIERWSZY i DRUGI RYBAK, rozglądają się, przypatrują się MISZY).

II RYBAK: Patrol, ani chybi?

(PIERWSZY i DRUGI RYBAK wychodzą. Zjawia się marynarz ZNOBOW. Leniwym krokiem podchodzi do MISZY i sadowi się obok niego).

ZNOBOW: A ty furt grasz, panie student? Późna pora.

MISZA: Jak patrol przyjdzie, to przepędzi. Zegarka nie mam. (Idzie OBAB, pełen godności, powagi i nadziei na otrzymanie tych nagród, które mu zostały obiecano. Nie bacząc na urodzoną swoją łepotę, OBAB rozumie jednak, że operacja, którą przedsięwzięł, jest niebezpieczna, więc dla dodania sobie animuszu puszy się i przy każdej sposobności stara się podkreślić, że ma władzę).

OBAB: Marynarz! Czego tu się pętasz po nocy?

ZNOBOW: Przepraszam, wasza wielkość... Randka.

OBAB: Ja ci pokażę randkę! Zamelduj swojemu dowódcy: dwie godziny pod karabinem.

ZNOBOW: Rozkaz.

OBAB: (Do MISZY). A ty bądź cicho! Gwiżdże to i gwiżdże. Wszyscy tylko gwiżdżą i gwiżdżą. I to jeszcze student! Dla czego nie w szeregach?

MISZA: Pomiekać — jestem chory, a skąd inąd — nie sympatyzuję.

OBAB: Z kim?

(MISZA milczy).

(Wchodzi WIERSZYNIN z żoną NASTUSIA. WIERSZYNIN, nie bacząc na ciepły wieczór, nosi odzież grubą, prawie zimową, ma nawet czapę na głowie. Jest to chłop stateczny, 45-letni, pełen niewzruszonej godności wewnętrznej. Nieświeżość przyrządy rybackie. Jego żona, NASTUSIA, do której WIERSZYNIN ma stosunek łagodny i czuły, jest młodszą o jakieś dziesięć lat; ubrana z większą elegancją, ręce ma pełne zabawek, raz po raz podnosi do ucha z uśmiechem blaszaną, malowaną faskrawo grzechotkę).

WIERSZYNIN (Do żony): Nastusiu! Isz, jak to ich wielmożność dziadów musztrują! Ale, ale — to nasz kraj! Iwan Aristarchowicz, jak się masz?

OBAB: A... Wierszynin.

WIERSZYNIN: Wybierasz się dokąd?

OBAB: A tak, z pociągiem pancernym... Wyruszamy. A ty dokąd spieszysz?

WIERSZYNIN: Co? Mnie się prześlizgało — po jakiej ścieżce?



Autor „Pociągu” Iwanow i Kaczałow w roli Wierszynina

Teraz ścieżki w różne strony wiodą. Popłatały się. I u ludzi też się wszystko popłatało. Iwanie.

NASTUSIA: Ale szablę wyfasował Iwan Aristarchowicz, galant szablę. Dziewuchy pewno lgną, że aż ha...

WIERSZYNIN: Szabla? Znałem ci ja jednego chłopca... Dorzecznym był chłopina. Ojciec jego dobrze sobie radził z gospodarstwem. I zamyślił ten chłop, jak się jego ojcu zmario, zamyslił iść do miasta, żeby się handlem zająć. A tu wojna przyszła, z handlu nici. I udało się temu chłopu wyskoczyć na feldfebla. Sąsiad z jednej wioski. A ty oficerem teraz zostalesz, Iwanie. Dochrapałeś się feldfebl, porucznikiem go zrobili?

OBAB (Z dumą): Tymczasem — chorążym.

WIERSZYNIN: No, no. Niezwyčajny jestem gwiazdki liczyć. Nawet na niebie, a co dopiero u naszego brata, chłopca. Tak, tak, chorążym Iwan Aristarchowicz. Gdzie też przydział macie? Do kawalerii?

OBAB: W pociągu pancernym służę.

WIERSZYNIN: Mnie się widzi, że w kawalerii to większy honor.

OBAB: No, czas już na mnie.

WIERSZYNIN: I my pójdziemy.

NASTUSIA: A pewno, trzeba by już. Nikita Jegorycz. Widać nie przyszedł ten znajomek...

WIERSZYNIN: A nie pamiętasz Iwanie, jak to cię wysiekłem za stogami? Zabielesz wtedy kurę kijem. Pieniądże za tę kurę do dziś dnia nie oddane.

OBAB: Za kurę? Ile ci dać za tę kurę?

(Krzyczy)

Stul pysk! Wiesz z kim rozmawiasz?

WIERSZYNIN: Wrzeszczeć toś się nie nauczył. Marnie wrzeszczysz, marnie. Dobrze już, dobrze, idź swoją drogą, nie trza mi zapłaty za tę kurę.

OBAB: No właśnie. Wasi chłopci, Wierszynin, ściągają pod Nowo-Sergijewsk. Strzeżcie się, bo przecież ja mógłbym...

NASTUSIA: Nikita Jegorycz, chodźmy już lepiej do zajazdu.

WIERSZYNIN: Niewiele mógłbyś, Iwanie. Oleju ci na wszystko nie starczy, masz ty i szablę, i jedną ręką możesz ze sto pudów podnieść, a ja tu stoję przed tobą i jeszcześ mnie nie poszatkował.

OBAB: Akurat mi to potrzebne. Kłopotów bez ciebie i tak dosyć... Pociąg pancerny lada chwila rusza.

(Odchodzi)

(Ze schodów zbiega ZNOBOW).

ZNOBOW: Już myślałem, że nie przyjdziecie, Nikita Jegorycz. Wierszynin: Stary znajomy, jak tu nie przyjść! Siadamy. Nudno w tym mieście. Tylko by sprzedać ryby i wyjechać czym prędzej. Różne sprawy na mnie waży czekają. Naród teraz się burzy, ludziom beze mnie się cni. Samogon zaczynają z nudów pedzić.

ZNOBOW: Nikita Jegorycz, mamy tu jedną nieprzyjemną sprawę...

WIERSZYNIN: Wiesz co, panie Znobow, ty mnie do swoich nieprzyjemnych spraw nie mieszaj. Przyjemne — proszę bardzo, a nieprzyjemnych to mam dosyć w mojej gminie. Nasze chłopackie życie powinno iść sobie powolutku. Myślnie ludzie nieuczenni, niepiśmienni, a życie prowadzą szerokie: żona, dwóch chłopców — Mitka i Saszka.

NASTUSIA: I jacy też to chłopcy. Takie toto zdatne, sposobne... Wierszynin: Chłopcy — owszem, grzeczni, weseli. Zeby tylko naj, najdłużej tej wesołości, ale jak to zrobić? Mieszkamy w tajdze, wśród gór i rzek, a cały świat, cała ziemia dookoła — aż kipi. — I znajdź tu drogę, kiedyś niepiśmienny.

ZNOBOW: Nikita Jegorycz, wasz rozum każdy zna. Napatrzyłem się na was kiedyśmy razem polowali. Macie się za niepiśmiennego, a na życiu się znacznie lepiej niż niejednego uczony. Nikita Jegorycz, wasz przeciwnik właśnie za rozum szanuje całą gminą Wukulowska i Ozjerińska, co tam, cały okręg Nowo-Sergijewski.

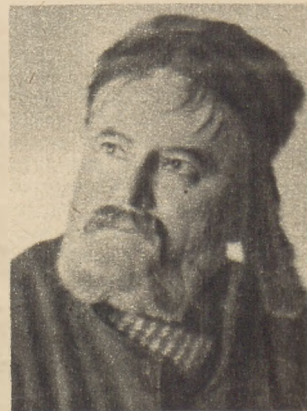
WIERSZYNIN: Nie, nie, ty mnie, ZNOBOW, nie ciągnij na wojnę. Myślny jestem, rybak ze mną, ziemię jeszcze orzę i tyle...

ZNOBOW: No tak, wy na wojnę nie pójdziecie, ona też was ominie; takie już wasze szczęście, widać. Tylko słyszałem, że do waszej Wukulowskiej gminy Japońców postali. Chłopi u was powstałi, czy co?

Polska prapremiera „POCIĄGU PANCERNEGO” WSIEWOŁODA IWANOWA w przekładzie Jerzego Pomianowskiego, reżyserii — Leona Schillera, dekoracjach i kostiumach — Andrzeja Pronaszki, z muzyką — Zbigniewa Turskiego odbyła się w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie 7. XI. 1952 r. w rocznicę Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej. Prapremiera rosyjska miała miejsce 8 listopada 1927 roku, dla uczczenia dziesiętej rocznicy Października. Dzień ten był przełomowy w historii najświetniejszego teatru rosyjskiego — MCHAT, dokonał przewrotu w losach sceny Staniaławskiego i najlepszych jej aktorów, takich jak znakomity Kaczałow, grający wtedy Wierszynina, przywódcę syberyjskich partyzantów, walczących z interwencją japońsko-amerykańską na Dalekim Wschodzie. „Sztuka Iwanowa stanowi jedno ze szczytowych osiągnięć najciekawszego, najbardziej radzieckiego nurtu rosyjskiej dramaturgii. Heroika rewolucyjna, romantyzm i surowy realizm to cechy dramatów należących dziś do radzieckiej klasyki teatralnej.

Autor „Pociągu pancernego” należy do literackich wychowanków Gorkiego, jest autorem kilku sztuk (m. in. „Blokada”), doskonałych opowiadań i powieści („Partyzanci”, „Przygody fakira”, „Błękitne piaski”, „Parochomienko”). W dniu premiery przysłał do widzów polskich list, w którym pisał między innymi: „...o sukcesie („Pociągu pancernego”) zdecydował przede wszystkim fakt, że cały kolektyw twórczy potrafił prawdziwie odzwierciedlić na scenie gorące pragnienia i myśli narodu: jego marzenia o pokoju, wolności i twórczym życiu, o tym, aby naród był sam gospodarzem w swoim kraju.

...Drozy przyjaciele! Pozwólcie mi raz jeszcze powiedzieć Wam, że jestem głęboko wzruszony i szczęśliwy. Szczęśliwy jestem dlatego, że inscenizacja sztuki radzieckiej na polskiej scenie — to jeszcze jeden dowód rosnącej i krzepnącej przyjaźni między polskim i radzieckim narodem”.



Leon Pietraszkiewicz w roli Wierszynina.

WIERSZYNIN: Jakże tam znów powstanie? Zadnego powstania nie było. Tak sobie po pijanemu dwóch milicjantów sprzątnęli. A względem Japońców, to nie słyszałem. Po co oni tu u nas? Ty mi, panie Znobow, duszy nie szarp. O, jak skończysz wojować, to przyjeżdżaj znów na polowanie, mam tam ze sześć sztuk upatrzonych niedźwiedzi.

ZNOBOW: Przyjadę.

(Pauza)

Nikita Jegorycz!

WIERSZYNIN: No, nie mogę. Zrozum, że ty, na miłość boską, nie mogę.

Bardzo zacny z ciebie człowiek, ale ja nie mam prawa ciebie słuchać.

ZNOBOW: Brata mi zabili, Nikito.

WIERSZYNIN: Pawełka?

ZNOBOW: Pawełka.

WIERSZYNIN: A to ci los! No, wieczne odpoczywanie.

(Pauza)

Znów powstanie w mieście robiłicie?

ZNOBOW: Robiliśmy.

WIERSZYNIN: I znów psu na budę.

(Pauza)

Zmarowali chłopacka. Tak... W mieście trudno wojować.

ZNOBOW: Nam by tylko jakoś ten czas przetrzymać, Nikito. Wszystko jeszcze naprawimy. Nasamprzód — trzeba ukryć naszego przewodniczącego, Pieklewanowa. Ściągają go. Trzydzieści tysięcy za złapanie obiecali. Może go schowasz w tajdze, na porębie?

WIERSZYNIN: Nie pójdę na tę waszą wojnę. Nikogo chować nie będę. I wcale mi was nie żal. Głacie, przepadnijcie, jeśli generalskiej i japońskiej władzy się sprzeciwiacie! Nie znasz ty naszej chłopackiej duszy...

NASTUSIA: Nasza dusza chrześcijańska, do gospodarstwa ją ciągnie, panie.

WIERSZYNIN: No, kogo ja tam będę ukrywać? Nikogo nie będę ukrywać. Chyba że... no, jeżeli koło poręby wtórcza jakiej przejdzie, albo patnik pobożny, to się ulituje, wpuszcze, będę karmił i zaopiekuję się. Jak nieznajomy — to nie wpuszcze, tylko na przykład, przejdzie teraz koło nas jakiś patnik, ja tutaj mu się przyjrę, a potem już spotkam go w tajdze. To jak tu takiego patnika nie wpuszczać? Zrozumiano, co?

ZNOBOW: Cóż, chodzą tu czasem patnicy. Patnik może się trafić.

(Wychodzi)

WIERSZYNIN: Oh, miękko też mam serce.

(Wchodzi RYBACY I i II)

Patrzaj łoś, z naszej wsi! Co robicie w mieście, chłopcy?

II RYBAK (Zmieszany): A grał ci tu ten uchodźca, Nikito.

I RYBAK: Smutnie grał, Nikita Jegorycz. Pewno, ciężkie to życie. A ty czemuś w mieście, Nikita Jegorycz?

II RYBAK: Mówiłem ci, nie ma tu Nikity Jegorycza, bo przy takim nieszczęściu zaraz by wyjechał.

NASTUSIA: Jakim nieszczęściu, sąsiadzie?!

WIERSZYNIN: Po co wyjechał, dokąd wyjechał? Jakże nieszczęście? Chłopczy, toście wy mnie dopiero cztery dni temu do miasta odprowadzili. Chłopczy!

I RYBAK: Widział, mówiłem ci, że on przyjdzie nad morze.

II RYBAK: Przystań. Nad morze, nad morze. Zwarłować z tobą można. Nikita Jegorycz, nieszczęście! Wprost ci powiadam, wielkie nieszczęście. Toż nas gmina przysłała po ciebie. Jedź, powiada, po Nikicie Jegoryczu, wojować pora.

WIERSZYNIN: Gmina? No, skoro gmina posłała, to znaczy się, niedobrze. Gmina na darmo nie pośle.

I RYBAK: Otoczyli nasze siolo Japońcy, ponastawiali karabinów maszynowych. A kiedy pod wieczór wracaliśmy z pola.

to nas, uważacie. powitali tymi karabinami — czy kto ma-
ły, czy duży.
NASTUSIA: I malutkich powiadasz?
I RYBAK: I malutkich.
WIERSZYNNIN: I malutkich? Oh! Komu z moich dzwony dzwo-
niły? Któremu?
I RYBAK: Kiedyśmy przyjechali, wasz tatulo, Jegor Iwanycz,
panichidę odprawiał przy mogiłkach za dusze waszych dzie-
ci. I Mitie i Saszkę pochowano.
NASTUSIA: Matulenko... i duszę Mitii... Matulenko młta.
WIERSZYNNIN: I Mitie, powiadasz, i Saszkę? Obu?
I RYBAK: Obu.

(Pauza)
Stogi nasze płoną po prostu jakby płakały. Dwie doby
luna stała, z cmentarza było widać. My niby stoimy, cała
gromada stoi na mogiłkach, i patrzymy. A stogi płoną,
płoną. Wiatr powiał i w naszą stronę dym niesie. Nikita
Jegorycz, dym chlebem pachniał.
WIERSZYNNIN: Zabierzcie Nastasję.
NASTUSIA: Dzieciatka moje młle, takie to było uważające,
takie zdadne....

(Rybacy wyprowadzają ją)
WIERSZYNNIN: Gdzieście łódkę zostawili? No, wiem, wiem
gdzieście zostawili. Zaraz przyjdę. Dobrze w gminie ura-
dził. Idźcie.

(Pauza)
I tyś tu ryby przywiózł na sprzedaż, Nikita. Po sprawunki.
Dudkę chciałeś dzieciom kupić.
(Patrzy na Miszę)
Isz ty, jak to dudki ta dudka. Też się turbuje, też by chciał
coś z tego wszystkiego zrozumieć...
(Wchodzi ZNOBOW i PIEKLEWANOW)

PIEKLEWANOW: To jest Wierszynin?
ZNOBOW: Tak. Zwracam uwagę, towarzyszu Piekłewanow, że
jego wpływy rozciągają się na cały ogromny powiat Nowo-
Sergijewski, na rejon gmin Wukolowskiej, Ozerińskiej.
PIEKLEWANOW (Przerzywa): Ten studencik — to nie szpicel?
ZNOBOW: Nasz sympatyk... Ja z nim pogadam.
(ZNOBOW podchodzi do MISZY, PIEKLEWANOW — do
WIERSZYNNINA).

PIEKLEWANOW: Nikita Jegorycz, dużo mi o was mówili do-
brego. Wiem, że kochacie nasz kraj, jego losy leżą wam na
sercu, życzyście mu szczęścia i szukacie tego szczęścia, po
swojemu, rzecz jasna. Wybaczcie, obaj nie mamy czasu,
więc będę mówił szczerze i krótko.

WIERSZYNNIN: Czego?
PIEKLEWANOW: Nikita Jegorycz, jestem przewodniczącym
komitetu rewolucyjnego. To ja jestem Piekłewanow.

ZNOBOW: Ciesz się! Patrole...
PIEKLEWANOW: Zatrzymacie. (Do Wierszynina)... komitetu
rewolucyjnego który kierował niedawnym powstaniem w
mieście przeciwko białogwardystom, Japończykom i Ame-
rykanom, chcącym pogniebić naszą ojczyznę. Powstanie zo-
stało stłumione. Mnóstwo towarzyszy zginęło. Niektórzy się
ukryli...

ZNOBOW: Ilia Gierasymycz też chce wynieść się z miasta, jako...
patnik... rozumiecie Nikita Jegorycz.

PIEKLEWANOW: Właściwie — to ja zostaje w mieście. Taka
jest ostatnia decyzja rewkomu. Nikita Jegorycz! Bardzo cięż-
ko jest się nauczyć pokonywać dziedziców, burżujów, inter-
wentów. Tu trzeba dużo umieć, o wielu rzeczach pamiętać.
Wy, na przykład, Nikita Jegorycz, jesteście człowiekiem wpły-
wowym w całej gminie, nawet w całym powiecie. A przecież
możliwe, że nie znacie tabliczek mnożenia.

WIERSZYNNIN (W głębokim smutku): Nie znam, bracie. Zgad-
leś.

PIEKLEWANOW: A ja trzeba znać od szóstego — siódmego
roku życia. Każde dziecko powinno już znać tabliczkę mno-
żenia...

WIERSZYNNIN (Z jeszcze większym smutkiem): Dziecko? Ot,
moje dzieci też by tabliczkę mnożenia... o... o...

PIEKLEWANOW: Tabliczka mnożenia to tak, dla przykładu.
Mu chcemy dla naszych dzieci i dla nas czegoś innego,
większego — czegoś, co z niczym nie daje się porównać —
my chcemy socjalizmu!... Ale, co to się stało z waszymi
dziećmi. Zatrzałem wam w oczy i zgubiłem wątek myśli...
no i znowu zapominałem zapalek...

(ZNOBOW podbiega, zapala mu zapalke).

WIERSZYNNIN: I znowu... trafilés, bracie... trafilés.

PIEKLEWANOW: Nikita Jegorycz! Potrzebna nam jest teraz
pomoc od was, od chłopów. Ma się rozumieć, że jeśli nie zga-
dzacie się na nic więcej, to przyjdą do was nasi ukrywający
się towarzysze, choćby w charakterze patników...

WIERSZYNNIN: Za ciebie ile dają? Trzydzieści tysię-
cy? A tyś się nie zlął, przyszedłeś do mnie, właśnie jak
patnik i powiedziałeś — tu jestem i twojej rady mi trzeba.
Do mnie przyszedł!... Byli patnicy, ale z tym już koniec.
I życie było, i dzieci były, i dom się miało i szanowano mnie,
a wczoraj moim domem i chłopskimi stogami Japończy niebo
rozświecił. Od pożaru chłopskim chlebem niostło. I żeby to
tylko chlebem! Dzieci moje razem ze zbożem spalone. Rosję
chcą spalić! Za dusze moich synów panichidę u kurchanów
odprawiono. Więc co, to i ja może mam teraz patnikiem
zostać? Nie chce. Tyś mi tu, Znobow, mówił, że Nikita Jeg-
orycz to chłop lebski. A gdzież to ten mój leb? Od wojny
chciałem uciec. A wojna — Japończy, Amerykanie sami
przyszli i nasze sioło i moich synów — z dymem!
(Pauza)

PIEKLEWANOW: Ciężkie was niebezpieczeństwo dotknęło, Nikita
Jegorycz. Rozumiem to, ach, jak dobrze rozumiem. Nikita
Jegorycz! Chłopi w powiecie waszym walczą w pojedynkę.
Zróbcie z nich armię, oni mają do was zaufanie, i przetrnącie
linię kolejową na zachód od Nowo-Sergijewsk. Japończycy
i Amerykanie ugrzęzną w tajdże, a my tu jeszcze raz po-
wstaniemy i — na własne życie ci się kłnę — zajmujemy port
i miasto. Rewolucja socjalna musi zwyciężyć i na pewno
zwycięży, Nikita Jegorycz.

ZNOBOW: Patrole! Ilia Gierasymycz, pójdę zatrzymać.

PIEKLEWANOW: Nie trzeba. Rozmowa skończona.

WIERSZYNNIN: Skończona rozmowa, chłopce. Czas ruszać na
Japońców. Dziękuję ci, Ilia Gierasymycz. Bez ciebie... cóż
ja... ciemnota...

PIEKLEWANOW (Zmieszany): No, co też wy... o, tu, rewol-
wer wziął zamek papierosnicy, tak się spieszyłem. Bier-
cie, przyda się. Mam więcej. Biercie w charakterze za-
świadczenia, albo, mówiąc obrazowo — mandatu. Idźcie i
nie miejcie wątpliwości, ani co do rewolucji, ani co do
bolszewików. Najstraszniejsza rzecz w naszej robocie — to
zwątpienie. Zycze szczęścia.

ZNOBOW: Ilia Gierasymycz! Patrole!
(PIEKLEWANOW i ZNOBOW wychodzą. Nie dostrzegając
WIERSZYNNINA, oglądającego rewolwer, przechodzi koło
niego NIEZELASOW; trzyma na ręku pieszka. Ordynans
niesie za nim bagaże. WIERSZYNNIN podnosi rewolwer.
MISZA w zakłopotaniu bierze się do fletu i głośno gra).

WIERSZYNNIN: No i nie wiem teraz; rypnąć w niego z tej sztuki?
Wezwać kulke, czy zaczekać?

MISZA: Nie, nie trzeba! Teraz złapią.

WIERSZYNNIN: Isz go, jaki to się radca znalazł. Ej, ty, grajku
żałobny, a znasz ty tabliczkę mnożenia?

MISZA: Na politechnice byłem.

WIERSZYNNIN: A jak cię zwą?

MISZA: Wiadomo — Misza.

WIERSZYNNIN: No, to w drogę!
(MISZA i WIERSZYNNIN wychodzą).

JUNKIER (Wbiega): Kto idzie? Stój! Kto idzie?

WIERSZYNNIN (Z daleka): Chłop idzie. Drzyj!
(JUNKIER strzela).

KURTYNA

Tłum.: JERZY POMIANOWSKI

SPOTKANIE U OGNISKA

ARTUR SANDAUER

W OWA noc, z 24 na 25 października (z 6 na 7 listo-
pada) 1917 roku, kiedy pod Zimowy Pałac, siedzi-
bę rządu Kiereńskiego, podchodziły oddziały ma-
rynarzy, żołnierzy i robotników, do uszu przerażonych
mistrzów — wraz z trzaskiem wystrzałów — doleciały
słowa nieznanej piosenki:

Jeszcze ananas, jeszcze jarząbek!
zrobimy z tobą, burżuju, porządek!

Autorem był podoficer wojskowej szkoły samocho-
dowej, w cywilu — poeta, znany publiczności mieszc-
zańskiej ze swej żółtej marynarki i ze „skandalicz-
nych” wystąpień, w których szargał wszystko, co naj-
świętsze: władzę carską i własność prywatną. Po raz
pierwszy tej nocy wiersze jego były wykonywane w
zmienionych warunkach:



Aleksander Blok

była mu skądś znajoma: chyba z jakichś spotkań lite-
rackich? Ale tutaj dotykamy wydarzenia głośniego w
literaturze, i nie tylko w literaturze. Pozwólmy więc
sobie przytoczyć własne słowa owego poety, jakimi
opisał historię tę w dziesięć lat później:

Blask
żołnierzowi
na włosów
zmierzwiłony lok.
Poznałem,
„Cześć,
Aleksandrze Bloku!
Futurystom w to graj!
rozłazi się
wzdłuż i w poprzek!”
Popatrzył Blok —
„To
bardzo
dobrze”.

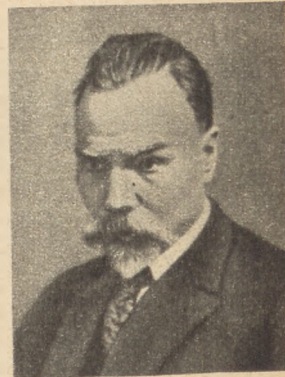
(Włodzimierz Majakowski „Dobrze” Fr. 7)

Tak zatem tej nocy u ogniska spotkali się — idąc z
dwóch przeciwległych stron — ziemianin Blok z wy-
chowankiem miasta, sympatykiem partii bolszewickiej
— Włodzimierzem Majakowskim. Obydwaj powiedzieli
„Tak” huczącej dookoła rewolucji. Jak jednak różnymi
głosami je wypowiedzieli, świadczy chociażby to, że
z pierwszego „Tak” zrodziło się „Dwunastu” Bloka, z
drugiego — „Dobrze” Majakowskiego.

Dwie te, oświetlone blaskiem płomieni, postacie poe-
tów nie powinny nam jednak — przy całym swym ogro-
mie — przesłaniać innych. Zapewne, z poematów, któ-
re dały świadectwo pierwszym dniom rewolucji, „Dwu-
nastu” i „Dobrze” najpotężniejsze chyba wywierają
wrażenie. Poza tym — niejeden poeta, który w parę
lat później miał dać własny obraz tych dni, walczył
jeszcze wówczas jako komsomolec na froncie. Ponie-
waż zaś mówimy tylko o 1918 roku, więc dwa przynaj-
mniej możemy wymienić nazwiska, godne umieszczenia
obok tamtych: Walerego Briusowa i Demiana Biednego.

Czterej ci poeci uzupełniają się nawzajem — już choć-
by dlatego, że każdy z nich przychodzi do rewolucji z

innej strony i widzi w niej
rozwiązanie innych zagad-
nień. Blok i Briusow to
przedstawiciele „starej in-
teligencji”, dalecy — zarów-
no przez swą przynależność
klasową, jak i przedrewol-
ucyjną ideologię — od pro-
letariatu. Blok dostrzega
w rewolucji realizację idea-
łów chrześcijańskich: w
„Dwunastu” Chrystus kro-
czy na czele patrolu Czer-
wonej Gwardii. Blok poj-
muje więc rewolucję jako
swoiste „przyjście Mesja-
sza”. Mimo to, wnioski, jak-
ie wysnuł z tych mistycz-
nych przesłanek, były praw-
dziwe: odczuł, że dla ludzkości stanęła otworem
nowa droga. Zrozumiał więc rewolucję fałszywie,
ale ocenił jej wagę trafnie. To głębokie jej przeżycie
decyduje o sile poetyckiej „Dwunastu” i sprawia, że
utwór ten był wydarzeniem nie tylko w rosyjskiej,
ale i w światowej poezji.

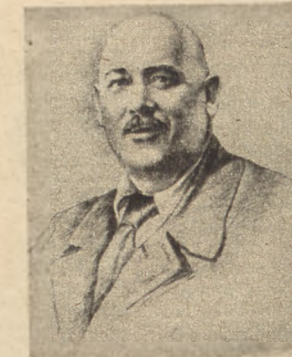


Walery Briusow

Walery Briusow, poeta intelektualny, nieco — moż-
na by rzec — „asnykowski”, przyszedł do socjalizmu po
głębokiej krytycznej analizie starego świata. W napi-
sanym na parę lat przed wojną wierszu „Hunnowie
przyszłości” nadaje on nadchodzącej rewolucji kata-
stroficzne kontury:

Wszystko, trudem zdobyte wiekowym,
zniknie może bez śladu na świecie.
Jednak hymnem was sławię surmowym
Niszczyciele, co mnie stratuje!

Kiedy jednak rewolucja nadeszła i gdy się okazało,
że u steru jej stoją ludzie, którzy — dalecy od tego, aby
zniszczyć to, co „trudem zdobyte wiekowym”, dokła-
dają, przeciwnie, wszelkich starań, aby je ocalić wśród
dziewiętej wichury, Briusow nie tylko że opowiedział
się po stronie partii, ale i stał się jej aktywnym człon-
kiem. Rozumiejąc jednak w pełni wielkość rewolucji,
nie umiał wyrazić jej dnia powszedniego. Porewolu-
cyjne jego wiersze cechuje pewien abstrakcyjny patos,
właściwy wielu współczesnym poetom, którym opisy-
wanie codzienności w tak epokowej chwili wydawało
się nieomal bluźnierstwem i którzy mówili o rewolucji
tylko w najgłośniejszym to-
nie, nie umiając przedsta-
wić jej realiów.



Demian Biednyj

To jednak właśnie potra-
fił Demian Biedny. Współ-
pracownik przedwojennej
prasy bolszewickiej, u-
kształtował on swą poezję
w codziennej walce prasow-
ej, oddając ją bezustannie
na usługi aktualności. Do-
prowadził też do mistrzo-
stwa takie jej rodzaje, jak
fraszka, bajka, agitkę; wie-
le jego utworów odegrało w
swoim czasie olbrzymią ro-
lę. Aby np. w pełni ocenić
celność czterowiersza:

Na mieście mordują
Na fabryce trują.
Ołw — tu i ołw — tam...
Kres — ten sam!

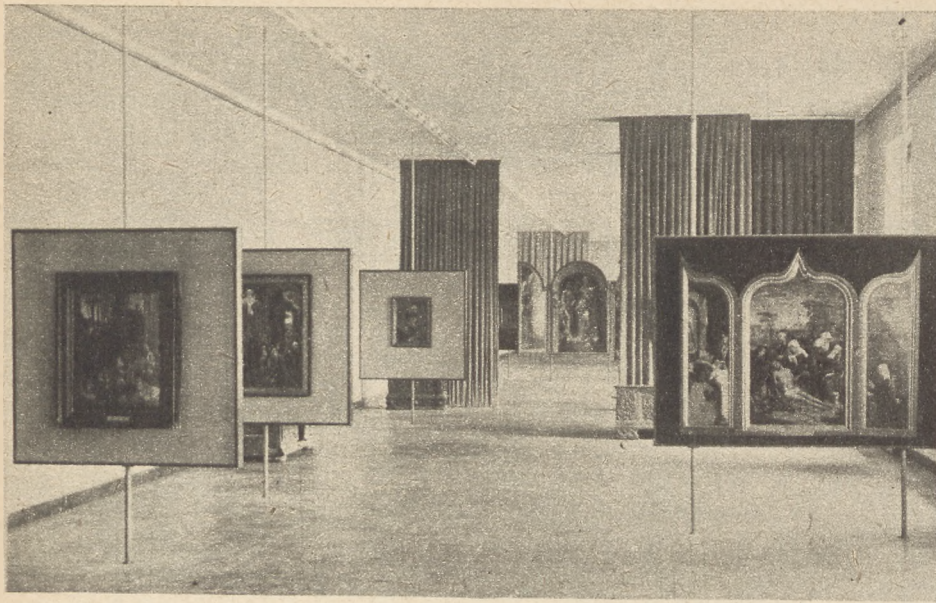
trzeba wiedzieć, że w numerze „Prawdy” z 1914 r.,
gdzie się ukazał, był zamieszczony równocześnie ury-
wek z przemówienia jednego z carskich polityków:
„Chemiczna analiza miedzi wykazała, że nie zawiera
ona żadnych substancji trujących — prócz ołowiu” oraz
wiadomość, że „podczas demonstracji policja zastrze-
liła robotnika Andrejewa”. Bez znajomości tych realiów
poezja Demiana Biednego traci wiele z blasku, jaki nie-
gdyś posiadała.

Wszystkie te cechy: Blokowskie uczucie, intelektual-
ny patos Briusowa, bezpośrednie działanie Biednego
połączy w swej poezji dopiero Majakowski. Nie od razu
jednak! Syntezę tę osiągnie dopiero po paru latach w
poemacie „Lenin” i w „Dobrze”. Rok 1918 to wciąż
jeszcze okres jego dojrzewania. Nie znaczy to oczywiście,
jakoby i wtedy nie dał już utworów o wartości nie-
przemijającej, dość wspomnieć chociażby ów „Lewą
marsz”, który — napisany dla bałtyckich marynarzy —
obiegł w dziesiątkach języków kulę ziemską. Aby jed-
nak osiągnąć późniejsze szczyty, Majakowski będzie
musiał wprawy przejść przez paroletnią szkołę pracy w
Rosyjskiej Agencji Telegraficznej. W tym okresie nie
będzie dla niego zadań zbyt drobnych: będzie malował
plakaty, rymował reklamy spółdzielczych towarów.
Niektórym z jego dawnych wielbicieli wyda się to ob-
niżeniem lotu. „Jak możecie — powiedzą — po tak moc-
nych rzeczach jak „Obłok w spodniach” schodzić do
agitki?”

Na przekór im jednak Majakowski rośnie — i rośnie
właśnie dzięki poezji agitacyjnej. I czy nie w tym właś-
nie leży wielkość jego późniejszej twórczości, że każ-
dy drobiazg widzimy w niej od razu jako część ogólnej,
wielkiej sprawy: jako szczegół budowy socjalizmu.



Włodzimierz Majakowski wśród komsomolców.



Aelbert Cuyp — Krajobraz.

DWIE GALERIE W MUZEUM NARODOWYM

OGLĄDANIE dzieł sztuki jest równie niezbędne dla człowieka chcącego obcować z kulturą, jak czytanie książek, słuchanie koncertów, bywanie w teatrze. Mimo, że jest to prawda oczywista, stworzenie galerii większe bez porównania nastęrcza trudności, niż udostępnienie innych dziedzin kultury. Obraz czy rzeźba jest zjawiskiem jednorazowym i niepowtarzalnym; jeśli oryginał zaginie, skazani jesteśmy na kopię, w najlepszym razie na dzieła z drugiej ręki. Cała nasza wiedza o malarstwie greckim sprowadza się do znajomości fresków odkopanych w Pompei; ich uroda i kunszt pozwala nam jedynie snuć domysły o wielkości malarstwa greckiego, którego nie widział nikt z nowożytnych.

Dzieła sztuki w Polsce, które gromadziły się w ciągu wieków w rękach magnaterii, na dworach biskupich i królewskich, ulegały losom, jakich nie znają zapewne kraje mniej często nawiedzane przez burze dziejowe, pociągające za sobą utratę zbiorów. Działo się też zwyczajne utraciszostwo szlacheckie, które wiodło do nieuniknionej wyprzedaży dzieł sztuki, najczęściej w ręce obcego nabywcy. Tym się tłumaczy, że zgromadziliśmy mniej stosunkowo arcydzieł sygnowanych przez najznakomitsze nazwiska, niż kraje, gdzie spokój gwarantował zasobność, a dobrobyt pozwalał na skupienie dóbr nie tylko materialnych. Dopiero dziś mogliśmy stworzyć dwie prawdziwie wartościowe galerie sztuki polskiej i obcej, galerie, jakich dotychczas nie mieliśmy w Polsce. Ich wartość, to nie tylko imponująca ilość wystawionych dzieł (cyfry nie są tu bez znaczenia: 17 sal malarstwa obcego — 314 eksponatów; 27 sal sztuki polskiej — 406 obrazów i 53 rzeźby), ani nawet ich jakość; to przede wszystkim mądry i przemyślany wybór, koncepcja całości. Nie chodzi tu bowiem jedynie o podziwianie i kontemplację dzieł sztuki; jak wszystkie zjawiska kultury, mają one również sens dydaktyczny. Ten właśnie dydaktyczny, wychowawczy sens malarstwa starali się uwypuklić twórcy galerii, podkreślając to, co najcenniejsze i najbardziej instruktywne w historii sztuki europejskiej i polskiej. Zawiera się tu także najcenniejsza

tradycja, wielki nurt realistyczny idący przez wieki, tradycja, która artyście współczesnemu pomoże w poszukiwaniach twórczych, a widzowi poprzez przeszłość udostępni poznanie współczesnej sztuki.

Choć cel jest jeden, odrębności i cechy szczególne historycznego materiału nakazywały inny układ galerii sztuki obcej, inny zaś — galerii polskiej. W galerii malarstwa obcego pokazujemy na najlepszym materiale szkoły malararskie, tworzenie się i narastanie kierunków, ich zasięg oddziaływania i linię rozwojową. Galeria ukazuje proces twórczy, lub kilka takich procesów, składających się na styl epoki — nie tylko w obrębie jednej szkoły narodowej, ale znacznie szerzej — kiedy ów styl obejmie inne kraje i środowiska artystyczne. Powstaje dzięki temu obraz całości — poznajemy najbardziej typowe przejawy sztuki w różnych epokach. Możemy, idąc przez sale galerii, obserwować wędrówki gatunków (portret, scena rodzajowa, pejzaż, kompozycja historyczna) i ich rozwój na innym gruncie; możemy śledzić przyjmowanie się i aklimatyzację tematów i sposobów wykonania, które z Włoch przenoszą się do Francji, z Niderlandów do Hiszpanii itd., wzbogacając się za każdym razem o elementy nowe, elementy narodowe. Taki układ pozwala zwiedzającemu galerię poznać w sposób wielostronny i szeroki złożone zjawisko plastycznej kultury Europy czasów nowożytnych.

Zespół dzieł malarzy i rzeźbiarzy polskich (od wieku XVI do chwili obecnej) zgromadzony w warszawskim Muzeum Narodowym, otrzymał nazwę Narodowej Galerii Polskiej. Jest to tytuł obowiązujący. Galeria nie zawiodła jednak pokładanych w niej nadziei. Pokazano nam linię rozwojową malarstwa polskiego, nurt realistyczny, który można tu śledzić od początków wieku XVI do największych osiągnięć w wieku XIX, kiedy malarstwo staje się sztuką narodową, znajduje swój odrębny język, stanowiąc jednocześnie dzieło humanistyczne i ogólnoludzkie. Wielki teatr historyczny Matejki, głęboko ludzki portret Rodakowskiego, mistrza psychologii i wyrazu, miniaturowy pejzaż Stanisławskiego, który jest najczystszy kształtem miłości do ziemi ojczystej, ludowość scen Chelmońskiego, Aleksander Gierymski, artysta o ogromnej skali wyrazu i uczuć, czułe i refleksyjne malarstwo Boznańskiej, nie mówiąc już o wielu innych — oto wielkość polskiego malarstwa tego okresu (do którego świadomie włączyłam późniejszą Boznańską) i najpiękniejsza jego tradycja. Jest to malarstwo korzystające z najlepszych osiągnięć sztuki europejskiej, a przecież odrębne, nasze, własne, nie tylko wówczas, kiedy ton narodowy akcentuje tematyka historyczna; jego odrębność jest odrębnością człowieka wyrosłego na polskiej ziemi, pejzażu, jakiego nie ma gdzie indziej, światła, które na przedmiotach kładzie się inaczej, niż we Francji czy Włoszech, płaszczyzny kolorystycznej, która odmiennie nasycy się barwami.

Galeria zawierająca cały dorobek malarstwa polskiego aż do międzywojennego dwudziestolecia włącznie, nie pomija żadnych zjawisk wybitnych: Pankiewicz i Waliszewski, Czyżewski i Makowski, nie licząc tych, którzy działają i tworzą jeszcze dzisiaj. Sale dwudziestolecia zamyka Felicjan Kowarski. Jego obraz „Proletariacy” bynajmniej nie przypadkiem otwiera sale malarstwa lat ostatnich — realizmu socjalistycznego: malarstwa, które w zestawieniu z okresem przedwojennym, wyraża wielki przełom w naszej sztuce i aktywny, twórczy stosunek artysty do otaczającego go, zmienionego świata.



Aleksander Gierymski — Święto „Trąbek”.



Felicjan Kowarski — Proletariacy.



Francesco Guardi — Isola San Spirito w Wenecji.



Henryk Rodakowski — Portret matki.

JOANNA GUZE

W ciętym kacie

JERZY WALDORFF

JEST coraz zimniej i wieczory coraz dłuższe. Przyjemnie jest w taki wieczór siąść w jakimś ciepłym kącie i pogadać — trochę o tym, trochę o owym, dla wypoczynku. Więc może najpierw o sukcesie „Halki” w Helsinkach...

Sławna opera Moniuszki pierwszy raz wystawiona była w Finlandii przed 15 laty. Nie miała wtedy zbyt dużego powodzenia, nikt bowiem z naszej strony nie zadbał, by pomóc Finom w zrozumieniu polskiego stylu operowego. Sami zaś Finowie mieli na ten temat pojęcia dość odległe od naszych, jeśli sądzili np., że polonez najlepiej wypada w wykonaniu jednej tylko osoby i jeżeli tańczony przez nich mazur był czymś pośrednim między kozakiem a menuetem. — Tym razem posłaliśmy do Helsinek nie tylko doskonałego reżysera — Merunowicza i choreografa — Paplińskiego, ale także projekty dekoracji — Kosińskiego i kostiumów — Cybulskiego. W rezultacie tak rzetelnie postawionej fińsko-polskiej współpracy „Halka” tym razem odniosła w Helsinkach olbrzymi sukces i — jak przewiduje prasa fińska — Moniuszko zostanie na stałe w repertuarze fińskiej opery.

Równocześnie na Zachodzie rewelacją artystyczną stały się występy zespołu tancerek i tancerzy z wyspy Bali, wchodzącej w skład Indonezji. Zgodnie z miejscowymi tradycjami, dziewczyna powinna być tancerką tylko tak długo

na propagatorka kultu wagnerowskiego, wdowa po kompozytorze — Cosima, już nie żyła. Sławne festiwale operowe w Bayreuth zostały wznowione dopiero w roku 1951 przez dwóch wnuków Wagnera — Wielanda i Wolfganga. Wieland wystawił ostatnio „Tristana i Izoldę” we własnych dekoracjach i... oburzył wielbicieli swego dziada. Wagner, jak wiadomo, był zwolennikiem realizmu inscenizacyjnego. Wieland zaś dał „Tristanowi i Izoldzie” oprawę dekoracyjną skrajnie formalistyczną. Liczył na to, że krewki dziadek nie będzie mógł mu zza grobu nawymyślać. Aliści wymyślających nie brakuje.

Inna doroczna uroczystość odbyła się w Genui, rodzinnym mieście najslawniejszego skrzypka świata — Mikołaja Paganiniego. W magistracie genuńskiego przechowywane są skrzypce Paganiniego, zbudowane przez lutnika Józefa Guarneriego (przypomnijcie sobie nasze lekcje o instrumentach!). Ciekawa była historia zdobycia tych skrzypiec przez Paganiniego, który miał zgubną namietność do hazardu i tak się stało, że pewnego dnia — na godzinę przed występem — przegrał skrzypce w karty. Wówczas, w ostatniej chwili udało mu się pożyczyć na jeden wieczór owe skrzypce Guarneriego. Ale grał na nich tak pięknie, że wzruszony właściciel skrzypiec ofiarował je Paganiniemu na zawsze. — Od śmierci mistrza skrzypce tkwią w gablocie. Tylko raz do roku ma prawo zagrać na nich najwybitniejszy, specjalnie wybrany skrzypek włoski. Odbywa się to naturalnie w ramach specjalnego, arcy-snobistycznego koncertu. W tym roku wybranym wirtuozem był Renate de Barieri.

Sławne instrumenty smyczkowe znajdują się nie tylko we Włoszech. Największy bodaj zbiór skrzypiec Stradivariusa jest w posiadaniu Związku Radzieckiego. Instrumenty używane są tam dla odmiennych celów.

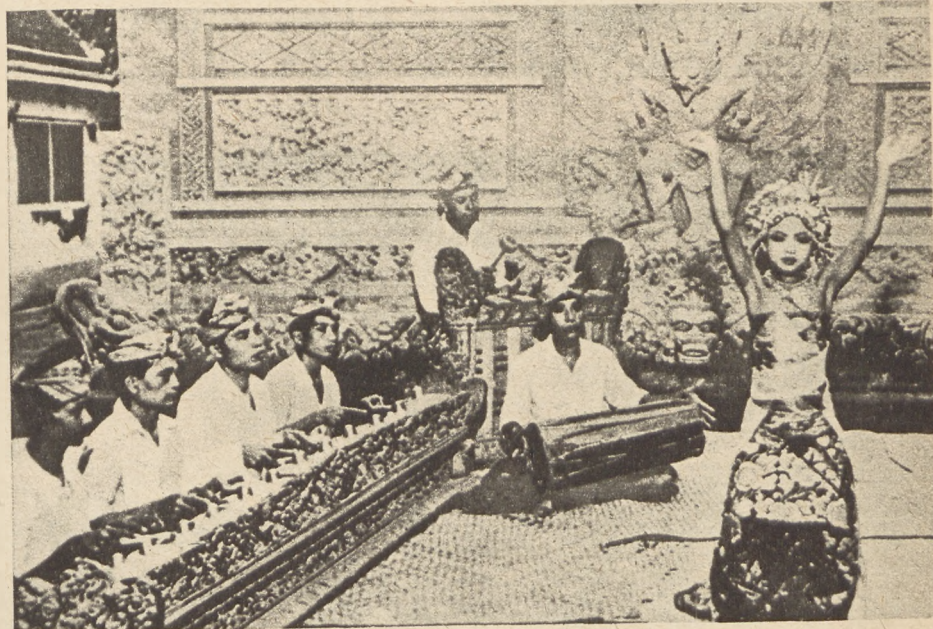
Nie gra się na nich po to, by ściągnąć publiczność na snobistyczne koncerty. Natomiast sławne skrzypce udzielane są przez Rząd ZSRR najzdolniejszym młodym skrzypkom radzieckim, by mogli jak najpełniej zabłysnąć swymi talentami. Na Stradivariusie grał w Warszawie znakomity młody Kogan.

W charakterze skrzypka zadebiutował ostatnio nieco starszy — Charlie Chaplin. Wielbicieli genialnego artysty pamiętają, iż Chaplin odezwał się po raz pierwszy z ekranu w filmie „Światła wielkiego miasta”, śpiewając piosenkę „Titine”. W swym najświeższym filmie „Światła kinkietów” („Limelight”), za który to film został wyrzucony z USA — Chaplin występuje i jako kompozytor i odtwórca muzyczny. Skomponował bowiem muzykę do baletu pt. „Śmierć Colombiny”, trzy piosenki, oraz koncert skrzypcowy, który sam gra.

A tymczasem „pocziwe” Stany Zjednoczone jak pławiły się w bzdurze, tak pławią się dalej. W San Francisco otwo-



Fiński mazur



Ni Gusti Raka i „gangs”



Formalistyczna śmierć Tristana

póki jest dzieckiem, więc przodująca tancerka zespołu — fenomenalnie uzdolniona Ni Gusti Raka, ma lat 12. Podstawowym instrumentem 23-osobowej orkiestry balijskiej jest rodzaj bardzo długiego ksylofonu — „gangs” — obsługiwany przez czterech muzyków (spójrzcie na zdjęcie). Prasa anglosaska zachwyca się niezwykłym pięknem ludowych tańców z Bali, bogactwem kostiumów i masek. I wszystko byłoby w porządku, gdyby w tych samych pismach, o kilka stron dalej, nie było reportażu wojennych z Dalekiego Wschodu, gdzie bracia tancerzy z Bali, walczący o wolność — nazywani są bandytami.

W związku ze zbliżającą się 70 rocznicą śmierci wielkiego kompozytora niemieckiego — Ryszarda Wagnera, coraz częściej przypominane jest frankońskie miasteczko Bayreuth, gdzie Wagner zbudował specjalny teatr, aby co roku dawać w nim cykle swych dramatów muzycznych. Od wojny teatr w Bayreuth był nieczynny. Niemordowa-



Skrzypce Paganiniego



Skrzypek Chaplin

Jedyne zdjęcie z „Toski”

rzono uroczyste nowy sezon operowy, o czym zamieścił reportaż czołowy amerykański tygodnik „Life”. Z reportażu czytelnicy dowiedzieli się, że najpiękniejsza suknia dostrzeżona na widowni teatru kosztowała 500 dolarów. Ze przed inauguracyjnym przedstawieniem w Operze — w Muzeum Sztuki... Co się mogło odbyć w Muzeum Sztuki? Odbył się uroczysty obiad! Ze Opera w San Francisco góruje nad Operą Nowojorską, gdyż otwiera sezon wcześniej, co pozwala damom z San Francisco wcześniej zademonstrować najnowsze toalety. No, dobrze. Ale co grano? Kto śpiewał? Kto dyrygował? Te rzeczy „Life” zbywa krótko: „Dano „Toskę”, podczas której nikt nie spał”. Rzeczywiście sukces! Ponieważ wszakże „Life” nie dał ani jednego zdjęcia z tej „Toski”, więc i my — za „Lifem” — możemy podać tylko zdjęcie jednej z wytwornych par gości, którzy zaszczyli Operę w San Francisco swą bytnością.





KTO JEST BARBARZYŃCĄ?

„Ja, John Dalzell Rankine, Komandor najzaszczytniejszego orderu św. Mikołaja i św. Jerzego, Zastępca Gubernatora Kolonii i Protektoratu Kenii, w wykonaniu powierzonej mi władzy, wyrażam niniejszym zgodę na zarządzenie pracy przymusowej, zobowiązując do niej dorosłych zdolnych do pracy mężczyzn... Dane z mej ręki i pod Publiczną Pieczęcią Kolonii, w Nairobi, dzisiejszego dnia 30 sierpnia 1949 r.”

„Barbarzyńca” Dżamo Keniata ukończył studia na wyższej uczelni w Londynie. Aresztowany...



został tak jak jego czarni rodacy, dla których jedynym uniwersyteciem był głód i upokorzenia, znoszone za sprawą brytyjskich kolonizatorów. Nie omogli samoloty i czołgi używane do walki z bezbronnymi Murzynami. Dziś nie da się kolonizatorom żadnymi łańcuchami na zawsze skuć wolnej myśli

JAK wynika z daty, powyższe zdania wyjęte są nie z dokumentu średniowiecznego. Jest to cytata z Dziennika Urzędowego wschodnio-afrykańskiej kolonii brytyjskiej

Kenia. Niewolnicza praca przymusowa — praca na rzecz białych kolonizatorów, praca przy budowie dróg strategicznych — jest jedną z cech charakterystycznych rządów brytyjskich w Kenii.

30.000 mężczyzn, kobiet i dzieci z osiedla Ol-Engruone w Kenii otrzymało w 1948 r. nakazy opuszczenia ziemi. Bydło i kozy zabrano im pod pretekstem, że ich dzieci nie usłuchały rozkazu i nie zbierały roślin na plantacji angielskiego osadnika. Gdy Murzyni z Ol-Engruone zwlekali z opuszczeniem stron rodzinnych, ich chałupy zostały spalone, a zapasy żywności zniszczone.

Polityka rugowania Murzynów z ziemi jest — obok pracy przymusowej — drugą cechą metody imperializmu brytyjskiego w Kenii od chwili zdobycia tej wielkiej kolonii (powierzchnia większa niż Francja) w końcu XIX wieku. Obecnie 5 i pół milionowa ludność murzyńska stłoczona jest w „rezerwatach” na złej i nieurodzajnej ziemi, podczas gdy biali panowie zagarnęli całą ziemię w wyżynnej i zdrowej pod względem klimatycznym części kraju. Kenia stała się miejscem osiedlania emerytowanych brytyjskich generałów i wyższych urzędników.

Wywłaszczeni z ziemi, zapędzeni do gett-„rezerwatów” i zmuszani do pracy przymusowej Murzyni z Kenii głodują i umierają z głodu. Angielscy znawcy Kenii podają, że wśród szczepów Kikuyu i Masai śmiertelność niemowląt dochodzi do 400—500 na 1.000.

W chwilach szczerości kolonizatorzy brytyjscy przyznają, że sytuacja gospodarcza ludności murzyńskiej Kenii jest tragiczna. W Izbie Gmin jeden z posłów stwierdził ostatnio, że „robotnicy murzyńscy, jeśli nie chcą umrzeć z głodu, muszą kraść...”. Ale — odpowiadają na to obrońcy rządów kolonialnych — dbamy przecież o „cywilizowanie” Murzynów. Warto wobec tego przytoczyć opinię brytyjskiego autora burżuazyjnego, Normana Leysa, który tak pisze o Kenii: „Wyszkolnienie dzieci najbogatszych ludzi w tym kraju finansowane jest przez podatki, uiszczane przez najbiedniejszych, których dzieci w ogóle nie mają dostępu do oświaty...”. Czytelnicy orientują się już chyba, że tymi „najbogatszymi” są angielscy osadnicy, a tymi „najbiedniejszymi” — Murzyni z Kenii.

SIR LYTTELTON „PACYFIKUJE...”

Takie jest podłoże ostatnich wydarzeń w Kenii. Takie jest tło najnowszego rozdziału w dziejach walki narodów afrykańskich o niepodległość. Wzrost napięcia w Kenii, wzrost świadomości narodowej, wzrost organizacji niepodległościowych i związków zawodowych w Kenii wykorzystany został przez imperialistów angielskich jako pretekst do wielkiej akcji „pacyfikacyjnej”.

W całej prasie kapitalistycznej zaczęły się ukazywać najbardziej fantastyczne opisy jakiegokolwiek nieokreślonej „sekt religijnej” czy „organizacji”



Tak jak u nas przed ośmiu laty... Zaryglowane drzwi, wewnątrz — człowiek, który winien być gospodarzem tej ziemi, na zewnątrz — okupacyjna policja przy swojej codziennej „pracy”



Kilka tysięcy czarnych robotników i chłopów zasnęło na przegubach rąk zimnego dotyku twardej stali kajdanek; więzieni są oni we własnej ojczyźnie przez zachłannych brytyjskich najeźdźców

racji terrorystycznej” pod dziwną nazwą „Mau-Mau”. Choć przywódcy murzyńscy z Kenii zapewniali, że nie mają z tą organizacją nic wspólnego, choć w prasie angielskiej mignęła wiadomość, że słowo „Mau-Mau” nie ma żadnego sensu w narzeczu szczepów z Kenii — wojsko i policja kolonizatorów kontynuowały swą akcję „Przywracania porządku” według znanych wzorów hitlerowskich.

Podczas „łapanek” aresztowano kilka tysięcy murzyńskich robotników i chłopów. Do Kenii skierowano oddziały wojska z innych kolonii angielskich. Do portu Mombasa zawinął brytyjski krążownik. Czołgi i samoloty użyte zostały w walce z nieuzbrojonymi Murzynami. „Pacyfikacja” kierował brytyjski minister kolonii Sir Oliver Lyttelton, który osobiście udał się do Kenii.

Osoba Lytteltona zasługuje na chwilę uwagi. Ten najbliższy współpracownik Churchilla jest „w cywilu” prezesem Associated Electrical Industries, spółki akcyjnej związanej z morganowskim koncernem General Electric i z zakładami zbrojeniowymi Vickers, jest prezesem i członkiem zarządu wielu innych trustów angielskich, jest przez żonę spowinowacony z rodziną Guest z przystępu wojennego, jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Czyż nie jest to „właściwy człowiek na właściwym miejscu”, by uśmierzać „barbarzyńców” z Kenii?

Osobie Lytteltona można przeciwstawić postać przewodniczącego Związku Murzynów Kenii, Keniata. Dżamo Keniata jest uczonym murzyńskim, który 17 lat spędził w Europie; ukończył London School of Economics, podróżował po Francji, Niemczech i ZSRR i ogłosił dzieło naukowe z przedmową znanego antropologa burżuazyjnego Malinowskiego. „Barbarzyńca” Keniata uwięziony został przez „cywilizowanego” milionera Lytteltona, a celowo kolportowana przez administrację fałszywa pogłoska o zwolnieniu Keniata wykorzystana została przez kolonizatorów dla przeprowadzenia jednej z największych i najbardziej krwawych „łapanek”...

Słowniki podają, że barbarzyństwo — to „dzikość obyczajów, brak cywilizacji, nieludzkość, okrucieństwo”. Lyttelton, jego przełożeni i jego podwładni zasznużyli niewątpliwie na te wszystkie epitetę.

NIE TYLKO W KENII

Odgłos wydarzeń w Kenii rozległ się szerokim echem na całym Czarnym Lądzie — na kontynencie, który przeżywa epokę przebudzenia; na kontynencie, który sprawia coraz więcej kłopotów państwu imperialistycznym. Niemal jednocześnie murzyńscy robotnicy z Północnej Rodezji przeprowadzili z powodzeniem wielki strajk przeciwko angielskim właścicielom kopalni miedzi. 40.000 Murzynów wywalczyło pewną podwyżkę swych głodowych plac u kapitalistów, którzy

dzięki wyścigowi zbrojeń doprowadzili swe dywidendy z kopalni miedzi do 200%. Jednocześnie trwa obrzydliwa akcja „biernego oporu” w Unii Południowo-Afrykańskiej, gdzie Murzyni i Hindusi razem walczą przeciw ustawom i praktykom hitlerowskim rasistów Malana. I jednocześnie nie schodzi z porządku dziennego sprawa Maroka i Tunisu, która na forum ONZ doprowadziła do zaostreżenia sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi i Francją.

Nie można odmówić racji publicystyce z konserwatywnego „Monde”, który w związku z wydarzeniami w Kenii pisał melancholijnie: „Na olbrzymim czarnym kontynencie rośnie coraz bardziej uświadomienie i wzrasta opór przeciw dyskryminacji rasowej”. I nie można nie zgodzić się z opinią „New York Herald Tribune”, który z przykrością stwierdza: „Staje się zupełnie jasne, że pragną oni (Murzyni z Kenii) przepełnienia Europejczyków (czytaj: kolonizatorów — G. J.) z Afryki Wschodniej oraz przejęcia ich ziemi, którą słusznie uważają za swoją...”

Znacznie prościej i dosadniej powiedział to samo Małenkow na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego: „W wyniku wojny i nowego zrywu walki narodowo-wyzwoleńczej w krajach kolonialnych i zależnych odbywa się faktycznie rozpad kolonialnego systemu imperializmu”.

GRZEGORZ JASZUŃSKI



Biali kolonizatorzy zabrali żyzną ziemię, zostawiając Murzynom tylko prawo do nędzy



Łapanka! Łapanka! Uciekajcie! Policja zatrzymała autobus na szosie, wyrzuciła z niego murzyńskich pasażerów i rewiduje ich bagaże. I te metody poznaliśmy na własnej skórze przez 6 lat okupacji



Majdanek na Czarnym Lądzie. Obozy koncentracyjne mają swoją tradycję w brytyjskiej polityce kolonialnej od czasów wojny z Burami, których tysiące zostało za drutami — na zawsze!



Każda okolica miała swoje zaklęte skarby. Szukano ich i na szczycie Łomnicy.

Poszukiwacze SKARBÓW



Góry były groźne i tajemnicze, a w przełęczach gazdowały pustka i strach.

MASZ mieć przygotowane różne świętości: krzyż, świecę, jako to: świecę gromniczną, palmę, węgieł do zapalania światła, dzwonek łoretński, wodę święconą, 888 Trzech Króli i krede święconą, mirre, ziółka święcone do kadzenia, także powinien mieć konieczny magnes, to jest kompas, ażebyś wiedział, jak się masz sprawować między ostre, wysokie góry, a osobliwie w jaskiniach, lochach ziemnych, gdzie jest wschód i zachód słońca, południe i północ. Do tego powinien mieć szpagat smarowany węzowym sadłem zmieszany ze szczeniakiem, bo od tych dwóch tłustości duchowie uciekają, może przyczynić do tego, abyś miał poświęcone... Takie rady dawał wyruszającym w Tatry Michał Hrosieński (czy Chrościński), podróżnik polski z pierwszej połowy XVII wieku.

Góry były wtedy groźne i tajemnicze, pełne dziwnych zwierząt i... duchów. Baca, pan życia na tatrzańskich halach, był równocześnie czymś w rodzaju czarownika: posiadał wiedzę i umiejętność dawania sobie rady z duchami. Po Tatrach tylko nieliczni krążyli podróżnicy — do wypraw Staszica dwa jeszcze wieki miały minąć — po bezdrożach, pustych śródleśnych polanach, po miatach, nad cichymi stawami, wśród łąk nieprzebranych kosodrzewiny, poprzez pola malinaków — od czasów najdawniejszych, aż po najnowsze — błazni niezliczeni, opatrzeni w „spiski” z ojca na syna przekazywane — poszukiwacze skarbow.

„Wyżej od ciebie spadły wysokie, z których woda ciecze do płosa, na tym spadzie są znaki takie: głowa, ręka, krzyż, sześć gwiazd, na gładkiej wyciosanej skale... na drugim spadzie są te znaki: trzy krzyże, dwanaście gwiazd i te litery: TMWPZZGNIW...” i tak dalej i dalej, w nieskończoność snują się niejasne, tajemne wskazania, które mają doprowadzić do miejsca, gdzie ukryty jest legendarny skarb: „kamienie jako carbunkuly, a ziarno jako bob, jako groch, jako laskowe orzechy, jako kokosze i gęsie jaja... Nabierz złota, a potem idź pod spód wody, tam skrzysz ognia, potem kołacz cekanem, gdzie będzie dudniało, tam otwórz, albowiem bardzo mocno zaprawiona dziura. Jest tam słup złoty... a od słupa tego ciągną się promienie i odnogi złote na wszystkie strony”.

Każda okolica miała swoje zaklęte skarby. Były one w Holcu, w Zamkach, w Szerokiej Jaworzyńskiej, w Żabim, w Młynarzu, pod

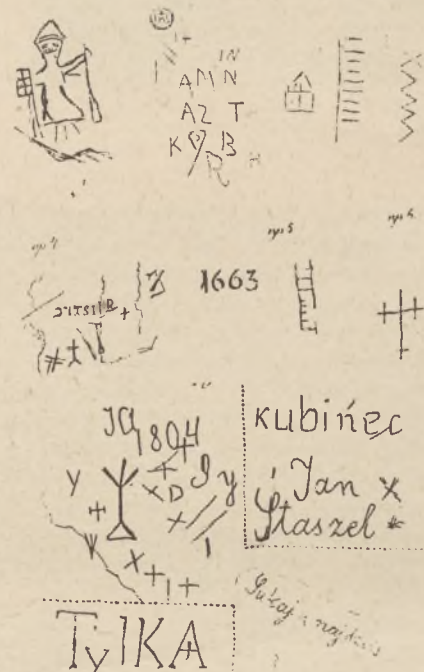
Hawranem, pod Jatkami, w Jaworowej Dolinie, pod Giewontem, gdzie jest jaskinia z diamentowym słupem strzeżona przez mnicha, pod Pisana, w Ratuszu w wąwozie Kraków, na Pysznaj, pod Rohaczami, pod Osobitą wreszcie. Kluczem do odnalezienia skarbow było odszukanie żabiego Jeziora; nie ma takiego dziś (nie mają z tym nic wspólnego Żabie Stawy Białczańskie), a może i nigdy nie było... Również i Morskie Oko było miejscem, gdzie znachodzą się skarby: „Jest hań kasi w kosodrzewinie popod Hrubym Wirhe jama — opowiadał Kazimierzowi Tetmajerowi stary góral. — Do tej jamy trza światło brać, bo hodnik w nuku skały kręci jak wąż. W samym radku jest hań sala wielka jak kościół, a na pośrodku kłęczą trójmi mnihi. Dopieroż się komuś i nik trza barz pięknie pokłonić, a dopieroż pote możesz skarb, co hań jest, brać, jele nie wycyć, ino telo, kielo na raz ciupagą urąbie. Jakbyś wycyć kciat wziąć, to cie w te razy, w te raziki, zle zabije... Hań niepęd inacyj cośi konać, ino jako przepis stoi. Hań ani siela, ani odwoaga nic nie płaci, nie wyonacy ciowiek nijać”.

Nie łatwo było odnaleźć miejsce, gdzie miał się skarb znajdować, ale nie tu jeszcze był koniec: trzeba było znać odpowiednie zaklęcia pomocne przy „odemknieniu jamy” i przy „zamknięciu jamy”. I te przepisy były jak najbardziej szczegółowo ujęte w spisach.

Będąc kiedyś w Tatrach, w Dolinie Kościeliskiej, skręćmy do Pisanej Hali ku wąwozowi Kraków; uzbrojeni w przewodnik tatrzański wejdziemy na trudną w orientacji i uciążliwą w podejściu drogę wiodącą do Groty Poszukiwaczy Skarbow. Jest tam po drodze i wąska półka skalna, i stromy żleb, i pionowa skała z dostępnym tylko przy użyciu drabiny otworem groty. Koło wejścia ciupaga na skałę wyrąbane znajdziemy tajemnicze rysunki, litery. To XVII-wieczne znaki poszukiwaczy — dopełnienie spisków. Już tu przed nami byli „turyści” — dowodzą tego dokonane zniszczenia. Nie naśladowmy ich.

W grocie pod Skałą Pisana, jej historyczni odkrywcy znaleźli szczątki łodzi i drabiny, pozostawione tam prawdopodobnie przez szukających skarbow górali. Zaglądał do tej groty Seweryn Goszczyński w czasie swego pobytu na Podhalu w roku 1832.

Poszukiwacze byli, istnieli, krążyli po Tatrach, lecz czy ich poszukiwania były na-



Poszukiwacze skarbow wykuwali w kamiennych ścianie różne tajemnicze znaki.

prawdę uwiecznione powodzeniem? Nie wiadomo. Ale wiara w istnienie skarbow była usprawiedliwiona. Tatry były kiedyś miejscem, gdzie wydobywano najdroższe z kruszców: złoto i srebro. W XV wieku, za Kazimierza Jagiellończyka rozpoczęło poszukiwanie szlachetnych metali na Podgórzu, zaś w roku 1562, za panowania Aleksandra, rozpoczęło wydobywanie srebra w Tatrach. Za Zygmunta Starego był w Kościelisku „młyn srebrny”. (W roku 1852 w kamieniu młyński z owego młyna wprawił do dziś stojący krzyż Wincenty Pol). W Krywanu kopano złoto i są tam do dziś widoczne ślady kopalni; podobnie jest i w Ornaku nad Doliną Kościeliską. Ostatnim z rzędu wydobywanych skarbow, i to wydobywanym najdłużej, było żelazo, kopane głównie w Magurze i w Kościeliskach, skąd przewożono je żelazną Droga (dziś Droga pod Reglami) do Hamrów Zakopiańskich — dzisiejszych Kuźnic.

Tyle o kruszczach, ale legenda góralska zna inne jeszcze skarby, w baśni i podaniu pierwsze przed złotem zajmujące miejsce. Skarbem tym były tajemnicze rośliny. Według XVII-wiecznego rękopisu, cytowanego na początku, w okolicach Ładowego, na pewnej łące znaleźć można korzeń dyptanu, który ma takie własności, że wszelkie „gadziny jadowite po ziemi się czolgające od niej uciekają; strzały, kule i inne instrumenta w ciałach, w członkach utkwione, zaraz w jednym momencie bez wszelkiej boleści wyciąga i doskonale goi”. Nie na tym koniec jego cudowności: uniwersalny korzeń zamki miał otwierać, rozbijać okowity... Znaleźć ten korzeń wcale nie było trudno, trzeba tylko było mieć przy sobie „sztukę jeleniego rogu na sznurku wiszącego, przyciągnie jak magnes”. Na innej znów łące poleca Hrosieński szukać „nardusowego korzenia, z którego maść była zrobiona Panu Jezu.

sowi”. Ten korzeń ma wywierać przedziwne skutki. Przerobiony na balsam cudowny w dwadzieścia cztery godziny goi najstraszniejsze rany, „płuca zgnite, wątrobę do zupełnego zdrowia przyprowadza i leczy”. Innym opisanym w tym dziele ziołem jest „luneria czyli świetliczka, eufrazia albo mastyczka”. To ziele rośnie również na łąkach, nad wodami, korzeń ma podobny do korzenia marchwi. Daje się kopać dnia 30 września, kwitnie na nowiu tegoż miesiąca, w nocy świeci jak świeca. „Po tem go łatwo poznasz, gdy na wodę rzucisz serwawszy to płynnie przeciwko wodzie, a kiedy rzucisz w ogień, trzaśnie jak piorun, odmienia miedź w złoto, ale tego nie każdemu powiadać, aby się nie zgorszy”. Ziele to odpędza duchy, pomaga skarb znaleźć, choćby go najliczniejsze duchy strzegły, rozrywa więzy, dyby, łańcuchy, otwiera wszystkie drzwi, broni od ran, kwiat zaś „kto do gęby włoży, przyjdą mu na myśl wszystkie skarby i wyjawia mu się”.

Cudowne zioła powtarzają się w każdym podaniu, w każdej prawie legendzie, w opowiadaniach o zbójnikach. Towarzysz Janosika miał trawę, co wszelkie drzwi otwierała, słowacki Mikołaj Szuhaj miał gałązkę, którą od kul się odpędzał. Tajemniczość przyrody górskiej stwarzała niezbędną cudowność akcesoriów.

Tatrzańskie bezdroża widziały jednak jeszcze innych poszukiwaczy. Poszukiwacze skarbow może najbardziej rzeczywistych, najczęściej pewnie odkopywanych, ale nie mniej otoczonych tajemnicą legendy. Te skarby — to tak wiele miejsca zabierające w opowiadaniach góralskich kotłiki ze zbójnickimi dukatami. Zbójnika wiązała z towarzystwem przysięga: nie wolno było mu wydobyć zdobycznych pieniędzy na własny użytek. Prawo to obowiązywało nawet wówczas, gdy pozostawał przy życiu tylko jeden członek zbójnickiego towarzystwa. Wolno było zbójnikowi zrobić jedno: wskazać ukryty skarb komuś, by dla siebie zabrał, ale sam zbójnik żadnej korzyści dla siebie z tych pieniędzy mieć nie mógł. Mówiono na Podhalu, że słynny Sabała Krzeptowski, który za młodu „za bucki” chodził, pokazał swemu bratu miejsce, gdzie były zakopane zbójnickie dukaty. Nieraz wskazywano sobie górala, który z zupełnej biedy nagle „na gazde, na hrubego się sprościł”; mówiono wówczas o takim, że zbójnicki skarb znalazł. Tak jak przy poszukiwaniu skarbow naturalnych i tu, przy poszukiwaniu skarbow ukrytych przez ludzi, konieczny był element cudowności i niezwykłości. Pieniądze zbójnickie nie były tak łatwo, prosto dostępne. Albo „sużyły się” w słońcu, albo strzegł ich diabeł, któremu pilnowanie skarbow zlecił harnaś. Nieumiejętne podejście, nieznaną ceremoniału, potrzebnego dla odzyskania i zabrania pieniędzy, sprawiała czasem, że zniknęły one i przepadały dla ludzi na zawsze.

Poszukiwania bajecznych skarbow: beczek złota i drogich kamieni, legendy o słupach ze złota i srebra, o mnichach i duchach strzegących wejścia — należą do dawno przebrzmiałej przeszłości. Od wieku nikt w Tatrach takich skarbow nie szuka. Podobnie poszły w zapomnienie cudowne rośliny. Giną legendy o skarbach. Ginę tak, jak zginęły już legendy i podania o Janosiku, Wołoszynie, Wantulach, złotej kaczce pod Skałą Pisana, o rycerzach uśpionych w Tatrach. Najdłuższe szukał górala, i nie tylko górala, skarbow zbójnickich, ale i to już ustało. Pokażą ci wprawdzie chałupę pod reglami, gdzie mieszkał ostatni zbójnik, wiedzą kto to był Sabała i pamiętają o Bartusiu Obrochcie, muzyku przesławnym, który za młodu pono z ostatnim zbójnikiem na zbój poszedł — ale stary folklor góralski ginie. Młodzi górala nie wiedzą już nic albo prawie nic o swej barwnej, pełnej cudowności i tajemniczości historii tatrzańskich.

Dziś na miejsce dawnego poszukiwacza legendarnych skarbow przyszedł poszukiwacz inny: geolog, archeolog. W grocie Magury, w jaskiniach Tatrzaków odkrywa się prawdziwe skarby dla wiedzy o minionych wiekach ziemi. Znalezione kości niedźwiedzia jaskiniowego, kości mamuta, znalezione ślady człowieka przedhistorycznego. Groty tatrzańskie opowiadają uczonym o swej tysiąc lat liczącej przeszłości.

JERZY DZIAŁEK



Tak przed stu laty wyglądały Kuźnice — dzisiejsza baza wypadowa dla narciarzy i turystów. Stąd przez Kalatówki i Kondratową Halę prowadzi droga na Giewont albo do Myślenickich Turni.

DZIEŃ KOLARZA

W zimie o kolarzach? — pomyślą Czytelnicy — przecież sezon skończył się już i rowery odstawiono do lamusa. Tak, sezon kolarski mamy poza sobą, ale rowery są nadal „w ruchu”. Aby dobrze przygotować się do następnego sezonu, kolarz, jak zresztą zawodnik każdej innej dyscypliny sportu, musi sumiennie trenować całą zimę.

Podstawą sukcesów każdego sportowca jest ciągła, całoroczna praca. Tzw. „martwy sezon” (zima — dla kolarzy, lekkoatletów, tenisistów, lato — dla tyżwiarzy, hokeistów) to tylko przerwa w imprezach, w żadnym razie w treningach.

Aby na wiosnę wyjść na boiska i bieżnie w pełni formy, aby brać udział w wyścigu kolarskim z szansą na nawiązanie równej walki z przeciwnikami, z szansą na zwycięstwo — trzeba usilnie pracować przez całą zimę.

Znamy doskonale jednego z najlepszych naszych mistrzów — Władysława Klabińskiego. Klabiński, syn emigranta — wychował się we Francji. W roku 1950 przyjechał do kraju wraz z reprezentacją Polonii Francuskiej na Wyścig Pokoju i zdecydował, że już nie wróci do Francji. Od tego czasu należy do czołówki polskiej, zarówno w wyścigach szosowych, jak i torowych.

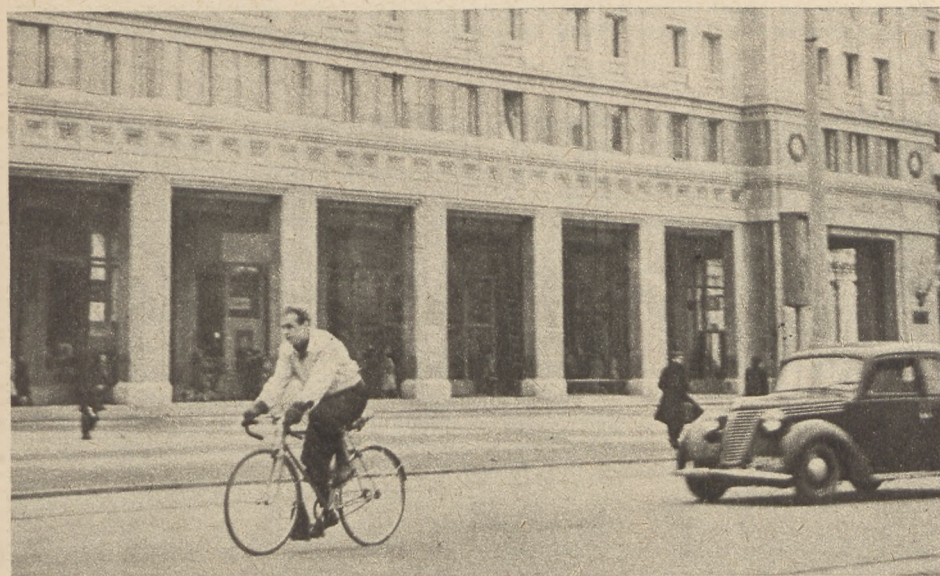
Wielokrotnie reprezentował Polskę w Wyścigu Pokoju, brał udział w licznych imprezach międzynarodowych — zawsze zajmując miejsce w czołówce, a nierzadko zwyciężając.

Klabiński jest członkiem Gwardii i pracuje jako mechanik rowerowy w warsztatach tego zrzeczenia.

Do przyszłego sezonu przygotowuje się bardzo starannie, chce bowiem, tak jak w latach poprzednich, reprezentować Polskę w Wyścigu Pokoju na trasie Warszawa — Berlin — Praga, w wyścigu, który w ciągu ostatnich lat przerodził się w olbrzymią manifestację pokojową, który stał się największą amatorską imprezą kolarską na świecie.

Jak wygląda dzień kolarza po zakończeniu sezonu?

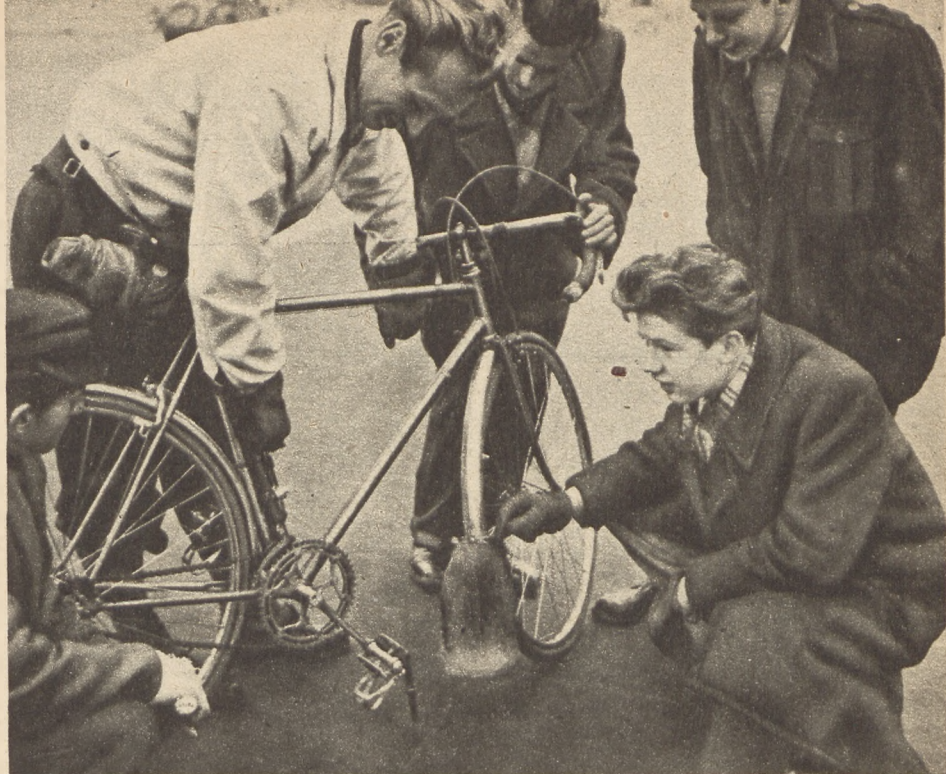
Zdjęcia „Swiat” — W. Prażuch



Codziennie rano Klabiński jedzie do pracy. Naturalnie na rowerze — podróż tę uważa za część treningu. Sumiennosc w treningach dała mu wiele pięknych sukcesów



Klabiński jest mistrzem Polski na torze. Potrafi dobrze „kreć” nie tylko na trasach wieloetapowych wyścigów szosowych — jest równie szybki na gładkiej nawierzchni.



Gdy wraca z pracy, spotyka młodych miłośników sportu kolarskiego. Chętnie dzieli się z nimi swym doświadczeniem. Z nich przecież wyrosną jego następcy.



Aby uzyskać pełnię formy Klabiński przejeżdża codziennie około 50 km. Przyszły sezon będzie bogaty w imprezy, a Wyścig Pokoju rozpocznie się już za 5 miesięcy.



A wieczorem? Wieczorem Klabiński całkowicie zapomina — do jutra — o rowerze. Idzie z żoną na spacer; na pewno wstąpią do kina lub do cukierni na kawę.

NA 30 LINIACH

MIROSLAW AZEMBSKI — Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

Przygoda Dyżla • Rzeki płyną ulicami • Dlaczego jeździmy „na orzelka” • Światła i cienie rozkładu jazdy • Nocna kuracja • Tramwaj nie umiera.

ZLEKKOŚCIĄ motyla skoczył Dyżla na stopień tramwaju, w nadziei, że tak jak codziennie, dojedzie do szkoły nie płacąc za bilet — a więc tanio i z odrobiną emocji. Skoczył i to prosto w ramiona znanego mu dobrze kontrolera... Surowy zazwyczaj urzędnik, dziś ubrany po cywilnemu, nie usiłował zdjąć Dyżla ze stopnia, a tylko na poliniowanej kartce papieru zapisał spokojnie: + 1.

Niecodzienna bierność kontrolera tak Dyżla przeraziła, że czym prędzej zeskoczył ze stopnia. I znowu niespodzianka: kontroler nie zagrzmiął wyrzutami (może tylko jego wzrok mówił bardzo wiele) — ale w innej rubryce zanotował — 1.

Tego dnia kontrolerzy pełnili specjalną służbę: z ramienia Biura Studiów Ruchu MPK prowadzili obserwację nad „potokiem pasażerów”. Na kilkunasztu liniach jednocześnie ustalali liczbę wsiadających i wysiadających na każdym przystanku, oznaczając dokładnie godzinę i minutę.

Raporty ich poszły później do Biura Studiów. Tam wzięto je jako podstawę do narysowania mapy Warszawy, po-przecinanej rzekami i strumieniami, wijącymi się wzdłuż tramwajowych tras. Ta mapa — to obraz frekwencji, a ściślej mówiąc, tłoku w warszawskich tramwajach... Wąski potoczek wylania się gdzieś na odległym krańcowym przystanku, po czym grubieje, w miarę jak przybywają nowi pasażerowie. Strumienie z bocznych ulic wpadają do głównych arterii, którymi płyną już potężne rzeki. Wysoko wezbrane wody toczą się Marszałkowską, Alejami Jerozolimskimi, a nade wszystko trasą W-Z. Rekordy bije Most Śląsko-Dąbrowski, przez który w ciągu godziny tramwaje przewożą w jednym kierunku 13.000 pasażerów!

„Potok pasażerów” daje obraz potrzeb miasta. Odczytamy na takiej mapie niewralgiczne punkty Warszawy: odnajdziemy wielkie osiedla mieszkaniowe, ośrodki przemysłowe, skupiska urzędów.

Mapa ta jest odzwierciedleniem postulatów mieszkańców w sprawach komunikacyjnych, jest podstawą przy układaniu rozkładu jazdy.

Weźmy teraz sytuację teoretyczną: MPK rozporządza już dostateczną ilością wozów tramwajowych. Rozstawia je więc po zajezdniach proporcjonalnie do potrzeb, wypuszcza na miasto w odpowiednich godzinach i sprawa załatwiona — jeździmy szybko i wygodnie. Tymczasem... posługując się mapą, możemy tylko z przykrością stwierdzić, kiedy i gdzie tramwaj wypełniony będzie w 100% (80 osób w wozie — nikt nie jedzie na stopniach), kiedy jest 150% (słynne „winogrona”), a kiedy 220% (wtedy część tak zwanych pasażerów jedzie — jak to się mówi — „na orzelka”, czyli na bocznych deskach tramwaju, obejmując ramy okienne szeroko rozwartymi — niczym orle skrzydła — ramionami).

Bo, krótko mówiąc, nie mamy jeszcze odpowiedniej liczby wozów. I tutaj trzeba zanotować zadziwiającą rzecz: tabor tramwajowy jest już prawie tak samo duży, jak przed wojną, a razem z trolleybusami i autobusami ogólna suma środków komunikacji znacznie wyższa niż w 1939 roku. Skąd więc ten piekielny tłok?

Na to pytanie odpowiadają dwie cyfry: przed wojną miejska komunikacja przewoziła około 240 milionów osób rocznie, dzisiaj blisko 400! Co prawda, straty wojenne uszczupliły liczbę mieszkańców naszego miasta, ale jak bardzo wzrósł rytm życia, o ileż to życie stało się intensywniejsze, gorętsze! Nie ma bezrobocia, cała Warszawa pracuje, cała Warszawa musi do swego miejsca pracy jakoś dojechać. Tysiące robotników i urzędników przybywają każdego rana z okolic podmiejskich, a co pewien czas słyszy się, że ktoś z prowincji ściga na stałe do stolicy. Oto przyczyna!

Ale to była tylko dygresja, dla wytłumaczenia, skąd czasami wylania się konieczność jazdy „na orzelka”. Powróćmy do „pasażerskich potoków”. Posługując się wzmiankowaną mapą, rozwiązujemy zagadnienie komunikacji



Codziennie, od 44 lat, kursują tramwaje ulicami Warszawy, przewożąc miliony osób; są one dziś, i długo jeszcze będą, najbardziej masowym środkiem komunikacji.

możliwie jak najlepiej: proporcjonalny podział taboru — który ustawicznie wzrasta — pomiędzy linie najbardziej chłonne, wzmacnianie go rezerwami w godzinach dojazdu do pracy oraz określenie maksymalnej szybkości na danej trasie — wszystko to daje w wyniku stosunkowo najdogodniejszy rozkład jazdy. Przy jego pomocy łagodzi się krytyczne zaostrzenia, uformowane przez krzywe frekwencji w godzinach rannych i poobiednich (spójrzmy na wykres). Dodatkowe wozy ruszają wtedy na miasto, aby powrócić do zajezdni w ołudnie i gdzieś po godzinie 15 znowu rozpocząć służbę.

* * *

A teraz, kiedy na 30 warszawskich liniach cały ruch został możliwie najlepiej rozplanowany, kiedy motorowi ruszyli przed siebie, każdy z rozkładem jazdy swojej „16” czy „7” w kieszeni — jeden wypadek może popsuć cały plan. — Założmy, że w najbardziej węzłowym punkcie komunikacyjnym (np. Plac Dzierżyńskiego) tramwaj wywraca furgon z mąką, worki wysypują się na tory, część ładunku leży pod tramwajowym wozem. Drobiazgowo wyliczenie na nic!

Byliśmy w zajezdni przy ul. Młynarskiej, kiedy w hali rozległ się ostry, długotrwały dźwięk dzwonka. Jeden człowiek zeskoczył z dachu tramwaju,

gdzie dokonywał przeglądu instalacji, drugi wygrzebał się z remontowego kanału — po chwili czterech czy pięciu biegło w kierunku garażu, skąd wyjeżdżał już samochód pogotowia technicznego. Skoczyli w biegu, pojechali. W przeciągu dziesięciu minut dojadą do miejsca wypadku, podniosą wóz, uprzątną tory i niefortunny tramwaj na placu Dzierżyńskiego ruszy w dalszą drogę.

Dobrze, ale powstało dziesięć minut przerwy — jak taką dziurę załatać? Znamy budki ekspedytorów rozsiane po całym mieście; właśnie zadaniem ekspedycji jest naprawić ciężko pokiereszowany rozkład jazdy. Jeden tramwaj ekspedytor przyspieszy, na jego miejsce sprowadzi dodatkowy — i tak załagodzi rozkładową lukę.

Ale najistotniejsza dla sprawnej komunikacji praca trwa nocą, w zajezdniach. Tutaj odbywa się kuracja tramwajowych wozów, sprawdzanie hamulców, silników, usuwanie drobnych uszkodzeń, zmiatanie i czyszczenie.

Nocą także, w ostrym, niebieskawym świetle płonącego acetyleny, grupki ludzi krzątają się przy torach, które wymagają naprawy; nocą wyjeżdża na samochodzie-wieżę inspekcja sieci, aby wczas zapobiegać przerwom w dostawie prądu. Brakuje nam miejsca na opisanie tego codziennego, a raczej conocnego trudu dla dobra olbrzymiego,



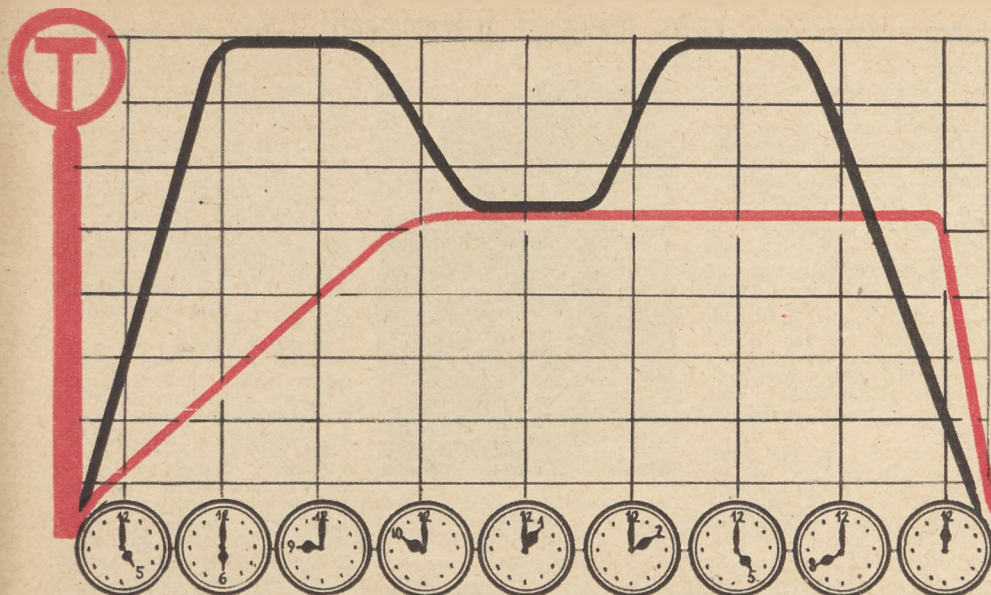
Instruktor Adam Stegner ma 67 lat, w tym 41 przepracował w służbie ruchu.



Jazda na stopniach stała się nałogiem, szczególnie wśród młodych ludzi, nie lubiących płacić za bilety. Cztery tych „sportowców” są utrapieniem służby ruchu.



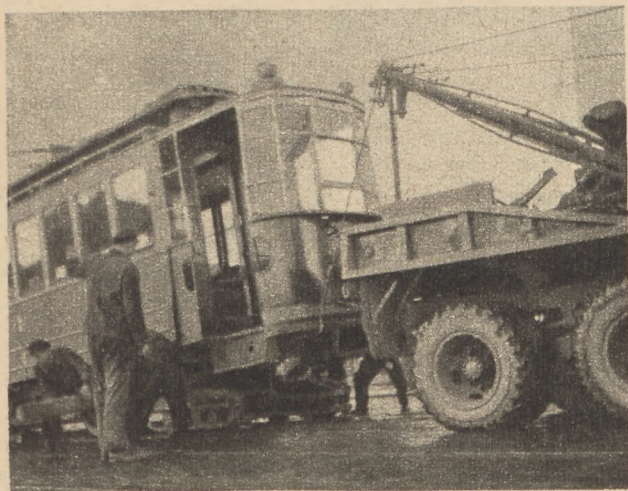
W czterech warszawskich zajezdniach praca i wtedy zajmą się nimi brygady ślusarzy re-



Tak wyglądają krzywe dziennej frekwencji w warszawskich tramwajach (czarna linia — dni pracy, czerwona — święta) W dniu powszednie największe obciążenie tramwajów przypada na godziny 6.00 — 9.30 rano i 14.30 — 18.00 wieczorem. W tym czasie wyruszają na miasto wozy dodatkowe, co jednak nie rozwiązuje zagadnienia, gdyż nie rozporządzamy jeszcze odpowiednio wielkim taborem. Dużą ulgę przyniosło pasażerom rozłożenie godzin rozpoczynania pracy, a stałe wprowadzanie do ruchu nowych tramwajów polskiej konstrukcji daje pewność, że będziemy jeździć coraz wygodniej i szybciej.



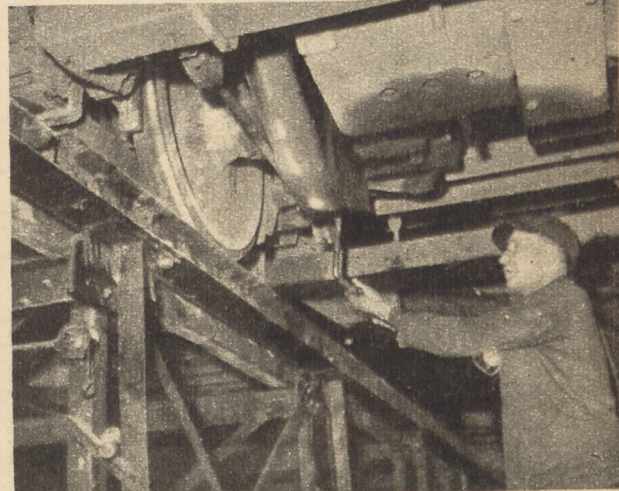
O czwartej rano na stacji Wola; tutaj rozpoczynają i tutaj kończą służbę dywizji konduktorów i motorowych. Przed wyjazdem na miasto — krótka pogawędka...



Wagon wyskoczył z szyn, ale przerwa w ruchu nie potrwa długo: pogotowie techniczne działa błyskawicznie.



Coraz więcej kobiet pracuje w służbie ruchu: konduktorka Eugenia Kałuża wpłaca pieniądze za bilety...



Nocna „kuracja” tramwaju: ślusarz remontowy J. Białkowski sprawdza działanie mechanizmów hamulca.

a niezwykle czułego organizmu, któremu na imię — komunikacja tramwajowa.

* * *

Mógłby ktoś zapytać, dlaczego tyle rozpisujemy się o tramwajach. Słyszymy często takie zdanie:

— Tramwaj jest gatunkiem wymierającym. W okresie budowy metra,

szybkiej komunikacji autobusowej i tak dalej, powolny zgrzytający wóz z pałkiem może być traktowany tylko jako zawalidroga...

Przed wszystkim prosimy o więcej szacunku dla tego najbardziej masowego środka komunikacji! Nie można o tramwajach tak lekko się wyrażać, chociażby z tego względu, że w ciągu dnia przewożą w Warszawie 1.200.000

pasażerów, a od pierwszej chwili funkcjonowania (1908 rok) przewiozły około 8.000.000.000 osób — to znaczy porcję cztery razy większą, niż ogół mieszkańców kuli ziemskiej!

A po drugie — w planach rozbudowy socjalistycznej Warszawy tramwaj wcale nie jest skazany na zagładę. Zejdzie co prawda na przedmieścia, ale za to tam będzie mógł w pełni zaprezentować

swoje zalety. Po własnych torowiskach (a nie — jak dotychczas — zapchanymi ulicami) pomkną szybkie wozy, których zadaniem będzie dowóz pasażerów z przedmieść do krańcowych stacji metra i, oczywiście, z powrotem. Otworzy się nowy etap w życiu komunikacji tramwajowej, z pewnością nie mniej pożyteczny niż dotychczasowy.



trwa przez całą dobę: o czwartej rano, kiedy „zawijają do portu” ostatnie tramwaje nocne — wyruszają wozy dzienne... Powróć o północy na dobrze zastawiony wypoczynek montowych, którzy sprawdzą dokładnie każdą część, naprawią od razu wszelkie uszkodzenia, a sprzątaczkę nadadzą wszystkim wagonom schludny wygląd...

nasz fotokorespondenci donoszą

KORZYSTAMY Z TECHNICZNEJ LITERATURY RADZIECKIEJ



Ten aparat, który widzimy na zdjęciu, to spektrometr, sprowadzony z Leningradu dla laboratorium przy Zakładach Przemysłu Metalowego im. J. Stalina w Poznaniu.

Analizy przeprowadzane przy jego pomocy — mówi pracownik laboratorium Schlecht — dają doskonałe wyniki, lecz obsługa aparatu

wymaga dość wysokich kwalifikacji. Dlatego też studiuje my wiele radzieckich książek technicznych.

Techniczną literaturę radziecką studiują nie tylko najbliżsi koledzy Schlechta — Jankowski, Woźniak, Jarczyńska i inni, zatrudnieni wraz z nim w laboratorium, studiują ją również liczni robotnicy, którzy tą drogą pragną znaleźć rozwiązanie trudniejszych problemów racjonalizatorskich. Toteż biblioteka fabryczna stale uzupełniona jest czytelnikami wypożyczającymi książki techniczne do domu lub świetlicy. Niesposób nawet wymienić nazwiska tych tylko robotników, którzy zdążyli już wprowadzić do produkcji ulepszenia lub doskonalą się w zawódzie dzięki przyswojeniu sobie doświadczeń metalurgicznych ośrodków w ZSRR — są ich już setki.

Nauka techniczna kraju zwycięskiego socjalizmu przyspiesza u nas wykonanie Planu 6-letniego, przyspiesza realizację Programu Frontu Narodowego.

Włodzimierz Kujawa, Poznań



Ob. Woźniak przy oznaczaniu procentowej zawartości węgla w stalach, żeliwach i surówkach.

SKOCZNIA JAK W HOLLMENKOLLE



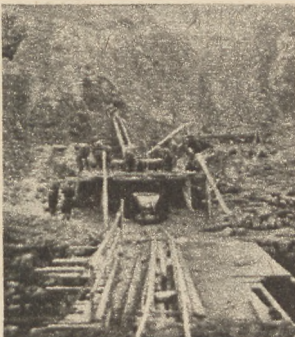
W nadchodzącym sezonie zimowym najpoważniejsze zadanie — Zimowe Mistrzostwa Polski — przeniesione będą z Zakopanego do Szczyrku, który posiada doskonałe warunki terenowe zarówno do uprawiania narciarstwa masowego, jak i wyczynowego. Szczyrk był dotychczas zapomniany

i dopiero niedawno postanowiono tę piękną beskidzką miejscowość podnieść do godności drugiej bazy szkoleniowej, nie mniej ważnej niż baza w Zakopanem.

Zrzeszenie LZS, które jest gospodarzem terenu, w szybkim tempie buduje wszystkie niezbędne urządzenia, koniecz-

ne dla dobrego funkcjonowania ośrodka i przeprowadzenia mistrzostw. Od miesiąca 102 junaków z 77 Brygady S.P. pod kierownictwem olimpijczyka Wieczorka remontuje tu jedną z największych naszych skoczni.

Zakończenie prac głównych przewiduje się na 1 grudnia.

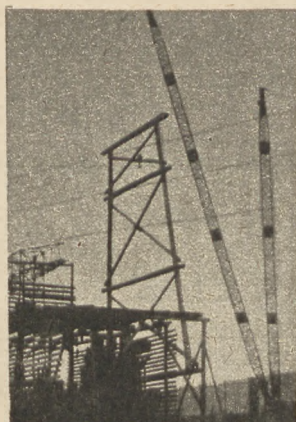


a następnie dwa tygodnie na prace „kosmetyczne”, tak aby przed świętami skocznia mogła być oddana do użytku. Jest ona wzorowana na olimpijskiej skoczni w Hollmenkollem o zwiastującym progu. Ten typ skoczni wymaga od zawodnika nie tylko silnego wybicia się, ale i pracy w locie nad uzyskaniem długości.

Choć od otwarcia skoczni dzieli nas sporo czasu, to jednak już teraz trwa zadęty spór o to, kto dokona pierwszego skoku. Kandydatów jest wielu: Wieczorek, inicjator budowy, inż. Samek Gąsiennica, projektant i nadzorca robót, mgr. Kozdrań, państwowy trener skoczków, no i nie wypowiedzieli się jeszcze — Marusarz i Kula.

W najbliższym czasie ruszy również sprawa budowy trasy zjazdowej ze Skrzycznego. Jej długość oblicza się na 2600 metrów, a różnica poziomów na 680 m. Jak trasy olimpijskie, posiadać będzie ona wiele ostrych i częstych zakrętów. Do kompletu obiektów narciarskich Szczyrka dojdzie trasa slalomowa ze Skalistego.

Cezary Chlebowski, Warszawa



Budowa szóstego mostu kolejki napowietrznej

— NAPIWIERZNA KOLEJKA WAŁBRZYSKA —

Budowa międzykopalnianej kolejki w Zagłębiu Wałbrzyskim szybko posuwa się naprzód. Ekipy robotnicze przystąpiły już do montażu szóstego mostu ochronnego, który stanie ponad linią wysokiego napięcia i podstacją elektryczną. Przewyższonego tu poważne trudności: prąd można było wyłączyć tylko na kilka godzin i tylko wtedy przystępowano do pracy; zachodziła przy tym obawa, że narzędzia, lub jakaś część składowa mostu mogły uszkodzić cenne i delikatne urządzenia podстанции, zasładowano ją więc deskami.

Nowozbudowany most jest przedostatnim na trasie kolejki.

W Katowicach w kopalni im. Bolesława Chrobrego montuje się jednocześnie stację centralną, napędową, wykorzystując stare, żelbetonowe fundamenty, co przyniesie ponad 25 tysięcy zł oszczędności. Zima nie powstrzyma tempa robót, ekipy montażowe otrzymały już specjalną odzież, pozwalającą na pracę w naj-

ZŁOTY JUBILEUSZ ŚLIWIŃSKIEGO

Stanisław Sliwiński, powszechnie ceniony aktor, obchodzi 50-lecie pracy scenicznej. Ilekroć ten odtwórca przeszedł pięćdziesiąt ról pokazuje się na scenie w Kielcach, Radomiu, Ostrowiu czy Starachowicach. tyle razy publiczność wita go serdecznymi oklaskami.

Zaczął grać w Teatrze Ludowym, prowadzonym przez Marcellego Trapszo. Później często zmieniał zespoły, ale niezmiennie było to, że sztuce dramatycznej służył całym sercem, znosząc często głód i poniewierkę. (Za wystawienie „Tkaczy” Hauptmanna groziły mu represje, uciekał za granicę).

Okupację hitlerowską przetrzymał bez pracy w teatrze. W 1944 roku wstąpił do wojska i tu pełnił na początku funkcję reżysera teatru dra-



St. Sliwiński w roli ojca Grandet.

matycznego II Armii. Później był dyrektorem Teatru Domu żołnierza w Poznaniu. Opuścił szeregi wojska w randze majora odznaczony orderami: Polonia Restituta, Srebrnym Krzyżem Zasługi i wieloma odznaczeniami wojennymi.

Od 1949 roku gra w teatrze im. St. Żeromskiego. Ostatnio jedną z najlepszych jego kreacji scenicznych jest rola pana Grandet w „Eugenie Grandet” Balzaca.

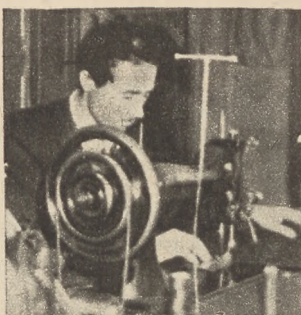
Sliwiński zaczął swą artystyczną drogę jako autor. Będąc jeszcze uczniem napisał sztukę „Rozbójnicy”, którą po zatwierdzeniu przez dyrektora, odegrano w szkole. „Podobno sztuka się podobała — powiedział wtedy Sliwiński — największy efekt odniosły jednak wystrzały poza sceną, które brać uczniowska nagrodziła huraganami oklasków”.

Sliwiński nigdy nie zerwał z piórem i jest autorem kilku sztuk: „Wesela Krakowskiego na Dynasach”, „Partyzantów”, „Zdrój”, „Podchorążaków”, „Wojska Polskiego” i innych, granych w największych miastach Polski.

Tadeusz Zimecki, Radom
Zdjęcia: Michał Włodarkiewicz

W PIERWSZYCH SZEREGACH FRONTU NARODOWEGO

W całej Polsce klasa robotnicza zwiększonym wysiłkiem uczestniczy w realizacji Programu Frontu Narodowego. W zwartym szeregu bojowników o lepsze jutro nie brak oczywiście robotników z Żyrardowa. Oto niektórzy z nich.



Marian Młynczak pracuje w Żyrardowskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego. Wyrabiając stale ponad 200% normy, jeszcze w tym roku wykona zadania przypadające mu w Planie Sześcioletnim.



Władysława Czekalska jest przodującą wykończarką w tej samej fabryce.



W Zakładach Lniarskich w Żyrardowie przoduje w pracy Feliks Skrzypczyński, zatrudniony przy farbowaniu tkanin.



Maria Goidek — szpularka żyrdowskich Zakładów Pończosznich, pomimo że ukończyła już 76 lat, wykonuje przeciętnie 110% normy i należy do pilnych robotnic.



Duże znaczenie dla produkcji mają remonty maszyn, które sprawnie przeprowadza Centralny Warsztat Mechaniczny. Nowe części toczy przodujący tokarz tych warsztatów, Józef Ciecharowski.

Eugeniusz Rastawicki, Żyrardów
Fot. — J. Chojnacki

Przypominamy, że w zeszłym tygodniu ogłosiliśmy konkurs na najlepszą fotokorespondencję. Za zgłoszenie do konkursu uznaje się automatyycznie nadesłanie prac przed końcem br. Rozstrzygnięcie nastąpi 15. I. 1953 r. I nagroda — aparat fotograficzny, II — teczka skórzana; III — pióro wieczne. Udział w konkursie mogą wziąć wszyscy nasi czytelnicy.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

CZYTELNICY PISZĄ...

„...Jeśli chodzi o aparaty fotograficzne — pisze nasz Czytelnik St. K. z Łodzi — rynek jest dostatecznie zaopatrzony obecnie w duży wybór kamer, od tanich boxów” do najnowszego modelu „Contaxa 8” z pryzmatem. Natomiast dzienne wydaje się, że do tych wszystkich aparatów produkcji niemieckiej nie wprowadzono koniecznych w pracy, a niedroгих dodatków, jak filtry i ochrony przeciwsłoneczne, soczewki nasadkowe. Jeśli nawet, w co wątpię, wytwórnie aparatów dodatków tych nie produkuje, nasz przemysł precyzyjno-optyczny powinien o tym pomyśleć i uruchomić dział wytworzenia tych nieskomplikowanych dodatków, z utęsknieniem oczekiwanych przez tysiące fotografów”.

Uwagi te są, naszym zdaniem, całkowicie uzasadnione i warte rozpatrzenia przez instytucje zajmujące się importem.

Shuszne również są propozycje Oh, R. Kibila z Gdańska, który pisze, ażeby Film Polski wypuścił na rynek papiery bromowe większych rozmiarów (od 13 x 18 wzwyż) w paczkach po 10 i 25 sztuk. Wielu amatorów ma ambicje artystyczne, pragnie stosować przy powiększaniu papiery o różnych gradacjach i powierzchniach, a nie stać ich często na kupno paczek po 100 sztuk, które następnie długi czas leżą niewykorzystane. „Nabywanie papierów w paczkach po 10 względnie nawet 25 sztuk, zmniejsza koszty kłopoty licznych fotoamatorów — stwierdza R. Kibil — oraz przyczyniłoby się do jeszcze większego popularyzowania fotografii i podniesienia jej poziomu”. — Prośbę naszego Czytelnika przekazujemy do rozpatrzenia kierownictwu produkcji Zakładów Fotochemicznych „Filmu Polskiego”. Zwracamy jednak uwagę, iż papiery do powiększeń formatu 24 x 30, 30 x 40 i 40 x 60 cm sprzedawane są już w opakowaniach po 25 sztuk.

„...Czy „Fotografia na codzień” — zapytuje St. Bryczkowski z Bytomia — ukaże się w wydaniu książkowym?”

„Od początku istnienia nowego działu „Fotografia na codzień” — pisze J. A. Zaluski z Łodzi — skrupulatnie czytam go i zbieram wycinki. W braku podręczników fotograficznych i ich chętnego pisma, Wasz dział, zawierający dużo wartościowych i niespotykanych nigdzie wiadomości i wskazówek, jest nader cenną pomocą w pracy fotoamatora”.

Te dwa fragmenty listów poruszają istotną bolączkę fotoamatorów, zwracających się do nas z pytaniem, kiedy wreszcie pojawią się w księgarniach podręczniki fotograficzne, których obecnie całkowicie brak. Dawne nakłady popularnych książek T. Cypriana, Eug. Szmidtga czy J. Piąteckiego są już całkowicie wyczerpane. A reszta fotografujących i pragnących uzupełnić swe wiadomości stale wzrasta. Pociągamy naszych czytelników wiadomością, iż Filmowa Agencja Wydawnicza zapowiada wznowienie nakładu książki „Fotografowanie nie jest trudne” J. Piąteckiego oraz wydanie przekładu książki radzieckiego autora J. Jekielczyka, p.t. „Mistrzostwo plastyczne w fotografii”.

ODPOWIEDZI

A. GLICNER, CZĘSTOCHOWA. Podana przez nas tabelka naświetlań obliczona jest dla filmów typu „Isopan F”. Praktyka wykazała, że film „Panatomic” Kodaka jest mniej czuły, śmiało możecie stosować czas naświetlania dwukrotnie dłuższy. System „nastawiania dwupunktowego” stosujemy również i w zimie, przy śniegu.

BR. ADAMCZYK, CHRZANÓW. Filtry do Waszego aparatu można nabyć tylko okazjnie. Adres redakcji pisma „Świat Fotografii”: Poznań, Solacka 13 m. 1.

Gniewy ludzi

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

OŁOWIANE, nawisłe chmury powoli, jakby z bezmiernym trudem, pełzły przez ostre, zębate wierzchołki. Wiatr spadał w dolinę z przeraźliwym gwizdem. Giucho łomotał w drewniane okiennice, którymi ludzie starali się chronić spokój swego snu. Szarpał nagie gałęzie drzew. Przeczesywał ze świstem różgi brzoź. Potem grzmiał krótkim, potężnym werblem w blaszane dachy i rynny i, cicho śpiewając, niknął.

Nad górami robiło się coraz ciemniej. Chmury gęstniały, tłoczyły się jedne na drugie przed groźną przeszkodą i znów wichur wył, zawodził, a potem sapał, sapał, jakby z największym wysiłkiem musiał pracować nad przetoczeniem przez górskie wierzchołki ołowianej lawiny.

Niebo nad doliną było białawe i mgliste. Wiatr przychodził i odchodził miarowo. Jego atak zaczynał się cichym, miękkim szumem, jak przy przelocie stada wron czy kawek. Potem głos rósł, potężniał, podjęty przez jodły i świerki na zboczach. Wierzchołki drzew chwiały się gwałtownie, zielone gałęzie biegły raptem ku górze, jak ręce wzniezione w rozpacz. Ostatnie płaty śniegu na zboczach ciemniały, malały wprost w oczach, nikły.

Szum drzew się wzmacniał i wiatr staczał się w dolinę. Pędził nią z pohukiwaniem i zawrotem aż ku samemu morzu. Po drodze rozkołysał dzwon na wieży kościelnej. Poprzez uderzenia i ryk wichury przebiegały jego nikłe zagubione dźwięki.

Morze, docierające do małej skalistej zatoki, jest czarne i lśniące. Białe bryzgi piany przebijają krótko, nerwowo, jak błyskawice.

Na fiordach, przy wejściu do portu, stoją strażnicy w ciężkich gumowych płaszczach i obserwują morze.

Wiatr co chwila z kłębiastej ciżby chmur wyrывa strzępy. Małe, jasne chmurki spełzają w dół. Zaczyna padać rzęśisty deszcz. Drewniane domki osiedla, żółte, zielone, czerwone i brązowe, wyglądają na śniegu, jak fragmenty barwnej łamigłówki. Teraz we mgle i deszczu tracą kolory, szarzeją.

Nadchodzi krótkotrwała, burzliwa północna wiosna.

Przez szpary okiennic sączy się zimny, bladawy ranek. Wiatr dobija się do nich, to znów cichutko śpiewa. Marta słyszy go od wielu, wielu godzin. Słyszała jego pierwsze delikatne szepty, jego ciche stukanie do okiennic, jakby czuł kochanek prosił o uchylenie okna.

Dziewczyna nie da się zwieść tym podstępem. Leży z szeroko otwartymi oczyma już od bardzo dawna, od samego wieczoru.

Tyle myśli, przebiegających i odchodzących jak fale wiatru.

Czy Marta ma się przyznać wobec samej siebie, że za pierwszym delikatnym stuknięciem w okiennicę serce poderwało się w niej nagle i zamarło? Że leżała w łóżku nieruchoma, pozornie obojętna. Czula tylko dziwny chłód w twarzy. Mimo tego chłodu po czole zaczęły się toczyć gęste, nabrzmiałe krople potu.

Nieprędko zrozumiała, że to tylko wiatr stukał. Okiennice musiały wiele razy giucho załomotać i blachy rynien zagrznieć hurgotem, a szpary wypełnić się cichutkim śpiewaniem, zanim pojęła, że to tylko wiatr.

Potem słuchała go już, jakby to był żywioł codzienny, zwykły.

Myśli przebiegały nagle i bolesne. Chwytała się wtedy za głowę, jakby w lęku, że nie znieśie tyle umęczenia.

A potem myśli odbiegały...

Leżała z oczyma szeroko otwartymi. Słyszała nierówny, niecierpliwy stuk własnego serca. Trudno jej było uwierzyć, że to w niej samej pulsuje raz szybciej, raz wolniej życie, tak, jakby toczyła jeszcze jakieś spory, wybuchała gniewem i tłumaczyła komuś raz jeszcze własne sprawy.

Skąd ten rytm nierówny, prędki jak bieg i wolny na przemian jak marsz morderów? Leżała tak spokojna, zmęczona, obojętna.

Poprzez śpiew wiatru dobiegało słabe pianie koguta, skrzypienie kół wozu, głosy przechodniów.

— Ranek — myśli Marta i patrzy przez chwilę na drzwi sąsiedniego pokoju. — Jak dobrze, że nie ma ojca, że gdzieś za Björne pracuje w lesie razem z drużyną drwali. Nie zniosłaby teraz spotkania z ojcem.

Zapada w ciszę. Nie pozwala jej sobie zakłócić przez żadną myśl natrętą i wrogą. Leży, sama nie wie jak długo. I znów za oknami głosy przechodniów. przez szpary okienne sączy się białawe światło.

Serce zaczyna bić mocniej, poznaje znajome ściany, wymykające się z cienia — stół, komodę, szafę.

Jest u siebie.

U siebie? Ogarnia ją cichy, przejmujący, podobny do dreszczu śmiech.

Nigdy już nie będzie u siebie. Nigdy już nie będzie miała swego kąta. Cały świat jest jej nienawistny i ona odtąd będzie nienawidzić świata.

Świat nie chce Marty, więc i Marta nie chce go znać.

Podeptano ją, skrzywdzono, ugodzono najczulej i najboleśniej. Przed takimi, jak Marta, życie zamyka zawczasu ciężką, okutą bramę. Nadzieja jest im odjęta, radość odjęta, przyszłość odjęta.

Marta chwilę jeszcze myśli o ojcu. Stary, kościsty, pomarszczony, o surowej, zaciętej twarzy — czy można ją zrozumieć? W jej ojcu jest tylko gorycz, i złość, i zawód. I przed nim dawno, dawno życie zamknęło swe bramy. Czy potrafi ją zrozumieć?

Marta sama sobie pośpiesznie odpowiada. Ojciec jej nigdy nie zrozumie. I tym lepiej, tym lepiej. Nie potrzebuje niczyjego współczucia.

Nie będzie czekać na powrót ojca. Nie chce widzieć jego poczerwieniałej z wściekłości twarzy, słuchać jego drwin i wyzwisk. I Martę opanowuje jedna myśl. Skończyć, prędzej skończyć z tym wszystkim, zanim nie przygwoździ jej czyjaś litość, zanim nie uchwycą jej czyjeś opiekuńcze ręce.

Wiatr się ucisza. Stuka łagodnie, miękko w okiennice, nuci w szparach jakąś monotonną, smutną piosenkę.

Jeszcze chwilę Marta myśli o kimś bliskim, niedawno tak bliskim, że na samo przypomnienie serce bije gwałtowniej i boleśniej. Kimś tak bliskim, że z wielkiego gniewu i wielkiej nienawiści Marta nie wie, jak go najdotkliwiej ukarać.

I znów ogarnia ją zniechęcenie. Opada na poduszkę. Leży z wzrokiem wbitym w sufit, nieruchoma.

Kiedy nadchodzi nowa fala niepokoju, nowa fala udręki, Marta już wie. Powąduje na fiord, na skały. Morze w dole wydaje się spokojne i sennie, i wszystko z wysoka jest takie dalekie, nieprawdziwe.

Nie będzie się burzyć, nie będzie żałować własnego życia, ani jednej chwili tego życia. Popatrzy na nie z daleka, z wysoka. Zobaczy raz jeszcze, jak było nędzne. Nie będzie czego żałować.

Tak najlepiej, najprościej. Tyle dziewcząt przed Martą wypróbowało tę drogę.

Wiatr woła raz słabiej, raz mocniej. W chwilach ciszy słysząc, jak w okiennice uderza gęsty, drobny deszcz.

* * *

Koło południa rozpogodziło się, choć nad górami wciąż stał wielki, czarny kłęb zbitych chmur.

Słońce słabe, anemiczne wisiało na białawym niebie. Słońce, które nie grzeje i nie oślepia.

Olaf Jensen stoi przed kuźnią, wielki, chudy, z rudą, rozwianą na wietrze brodą. Patrzy jak z daleka od gór idzie dwóch mężczyzn. Olaf ich zna i macha im ręką, pozdrawiając. Potem nachyla się i długo szuka czegoś w żelastwie, leżącym przed kuźnią.

Mężczyźni podchodzą bliżej.

— Jak się masz, Olafie — mówi wysoki, szczupły Tomasz Jerne. Tomasz ma jasne, błękitne oczy i drapieżny, podobny do dzioba, nos.

— Jak się masz, Olafie — powtarza drugi z przybyłych, Marek Karelsen.

Olaf podchodzi do przybyłych, wycierając rękę o skórzaną fartuch, potem podaje ją znajomym.

— Idziecie z Ankene? — pyta.

— Z Ankene — potwierdzają.

— Co tam słyszać? — rzuca i nie interesując się odpowiedzią, idzie znów szperać w żelastwie.

— Zle słyszać — powoli mówi Tomasz i patrzy na Olafa. Ten podnosi głowę.

— Zle? To znaczy, co?

— Nic jeszcze nie wiesz?

Kowal staje wyprostowany i patrzy ze zdziwieniem na przybyłych.

— Dziś rano — mówi Tomasz — nastali na Ankene obcych. Likwidują cmentarz radzieckich żołnierzy. Wykopują ciała z mogił, śpieszno im, jakby się paliło.

— Likwidują cmentarz? — pyta Olaf i patrzy nieufnie na Tomasza, jakby nie dowierzał jego słowom.

— Likwidują — przyświadcza Marek.

— I co, ludzie na to pozwalają? — pyta znów Olaf i szarpie swą ognistą brodę.

— Co mają pozwalać albo nie pozwalać. Tamci przyjechali do Ankene skoro świt. Nim się kto zorientował o co chodzi — pół cmentarza było zniszczone. Próbowali przeszkadzać, bo to aż zał patrząc. Bez szacunku, bez opamiętania, w pośpiechu głowy odrabują łopatami od tułowia, aby prędzej — i pchają zwłoki do skrzyń. A wieniec, co leżały przy mogiłach, na stos i palą.

— Zaraz, zaraz... — przerywa Olaf. — Kto to wszystko robi? Jakże to? Jakże to tak? — pyta i głos jego brzmi groźnie.

— Jakże to? — pyta i głos jego brzmi groźnie. Z kuźni wychodzi pomocnik Olafa, Józek Bryne. Niski, krępy, kuternoga ze złymi, czarnymi oczyma. I on staje przed przybyszami, ciekaw nowin.

— Robią to z rozkazu władz. Przysiali robotników. Grabarzy, czy jak ich tam. A obok nich policjantów. Dla porządku — Tomasz mówi powoli, ale głos drży mu od wzburzenia.

— Dużo tych policjantów? — pyta Józek i podrzuca w rękę rurę z lanego żelaza.

— Będzie z kilkunastu — mówi Tomasz.

— Kilkunastu? — wołają prawie jednocześnie Olaf i Józek.

— I co na to ludzie z Ankene? Pozwalają tak, pozwalają hańbić groby? — hu-czy basem Olaf.

— Już wam mówiłem — rzuca zniecierpliwionym głosem Tomasz. — Za późno było, żeby bronić. Nikt się czego takiego nie spodziewał.

— Nie spodziewał... Nie spodziewał... — mruczy gniewnie Olaf, szarpie swoją brodę i patrzy pytająco na przybyłych.

— Mówią, że mają ich gdzieś wywozić. Że gdzieś tam założą jeden wielki wspólny cmentarz dla żołnierzy radzieckich — dodaje Tomasz, ale głos wciąż drży mu od hamowanego gniewu.

Józek łączy się do rozmowy starszych. Ciska rurę na stos żelastwa, jakby to właśnie ona przeszkadzała mu w zabraniu głosu.

— Jakże to! Tu się bili, tu polegli. Tu ich miejsce! — mówi wzburzony i patrzy w oczy stojących, jakby chciał, by mu przytwardzić.

— Ma rację — potakuje Olaf. I zaraz rzuca ku przybyłym: — Co myślicie? I gdzie indziej będą chcieli tak robić?

— Tak myślimy — potwierdza Marek.

— To gdzie indziej im się nie uda — oświadcza kowal i prostuje się wielki, barczysty, z rozwianą płomienną brodą.

— Tak i my myślimy — mówi Marek. — Gdzie indziej im się nie uda.

Stoją teraz przez dłuższą chwilę w milczeniu.

— Po to tu do was przyszliśmy. Powiedzieć, co i jak. Postanowić zawczasu, co trzeba.

— Byliście już gdzie? — pyta Olaf.

— Jeszcze nigdzie. Ale nie bójcie się. Pójdziemy do tartaku. Poprzą nas. Pójdziemy w góry do drwali. Też będą z nami. A przede wszystkim tu trzeba ludziom powiedzieć.

— Niech tamci spróbują — mruczy Józek. Ale Olaf nie słucha pomocnika. Zwraca się z troską do Marka.

— To trzeba mądrze. Mądrze i twardo. Wtedy wygramy.



Myśli przebiegały nagle i bolesne. Chwytała się wtedy za głowę, jakby w lęku, że nie znieśie tyle umęczenia.

— I żeby razem, wszyscy razem — mówi Marek.
— Pójdziemy do nauczyciela Petersena. Zwoła się ludzi. I postanowimy. —
Olaf ściąga przez głowę swój skórzany fartuch, wchodzi na chwilę do kuźni i wraca ubrany w marynarkę.
Józek patrzy na Olafa pochmurnie i cicho pyta:
— Mogę z wami iść?
Olaf przez chwilę mierzy go niechętnym wzrokiem. Widać, decyzja nie przychodzi mu łatwo. Ale sprawa jest ważna i niezwykła. Więc Olaf mruczy tylko:
— Chodź!

Marta w pośpiechu narzuca na siebie palto. Wybiega z domu. Teraz, kiedy dojrzała w niej decyzja, nie powinna już czekać. Nie ma na co czekać. Zatrząskuje za sobą drzwi, jakby to były drzwi obce, od obcego mieszkania. Nic już jej nie łączy z tym domem. Przestał dla niej istnieć.

Twarz Marty wykrzywia grymas. Jest bardzo blada. Jej czarne włosy szarpie wiatr, padają na nie kropelki gęstego, dokuczliwego deszczu. Włosy w zetknięciu z deszczem zaczynają się związać w pierścionki. Palto rozwiewa się przy każdym kroku i łopocze.

Ale Marta tego nie spostrzega. Idzie szybko przez wieś, nie widzi domów, nie widzi ludzi. Idzie tylko prędko, prędko. Cała jest przejęta jedną myślą, jedną decyzją.

Świat ją ugodził, świat ją skrzywdził, więc nie chce takiego świata. Nie chce go znać, ani ludzi, którzy go zamieszkują.

Jeszcze niedawno wrzał w niej wielki gniew, wielki bunt. Teraz została tylko pogarda. I Marta już jakby ostygła. Jej decyzja nie jest powzięta w gorączce i oburzeniu, ale z rozmysłem, na zimno. Już nic nie może jej zmienić.

A mimo to Marta się śpieszy.

Koło domu nauczyciela Petersena stoi spory tłum ludzi. Marta prawie biegnie i nie spostrzega stojących. Ale już ktoś chwytą ją za rękę. I słyszy czyjś głos, który wydaje się jej zupełnie obcy.

— Co z tobą, Marto? Co z tobą?

Dopiero po chwili Marta poznaje, że to jej przyjaciółka, Agnes.

— Chora jesteś? Co z tobą? — pyta ten sam głos.

W sercu Marty nagły popłoch.

— Puść mnie. Puść — mówi cicho, szybko.

Ale ręce Agnes trzymają ją mocno.

— Co z tobą?

I oczy Marty nagle przytomnieją, myśli rozdiera jakby błyskawica. Potem, kiedy Marta wspominać będzie tę chwilę, powie: „Jakby w zamkniętym ciemnym pokoju ktoś uchylił okiennice i nagle wtargnęło pełne światło. Aż patrzeć nie można...”

I z oczyma Marty dzieje się w tej chwili coś dziwnego. Mrużą się boleśnie, jakby od nadmiaru światła, a potem pokrywają się szklaną warstwą łez. Nawet nie widzi, że do Agnes podchodzą inne. I żona Feliksa Struve. I młoda Freda Björnsen.

— Skrzywdził cię kto? — pyta któraś cicho.

A Agnes odpowiada:

— Dajcie jej spokój. — I nikt już nie rzuca niepotrzebnych pytań.

Marta przytula się do ramienia Agnes. Daje się prowadzić bezwolnie, jak małe dziecko. Jest ślepa od łez. Wciąż dokucza uporczywa myśl.

— Taka jestem słaba. Taka słaba. Na nic wszystkie postanowienia. Nic nie potrafię. Przegrałam.

Wiatr zawodzi gdzieś wysoko, deszcz zaczyna nieustępliwy i chłodny.

Agnes chodzi z Martą po małej uliczce między domami. Mówi do niej czasem jakieś słowa proste i ciche. Agnes nie wie, co spotkało przyjaciółkę, ale zgaduje, czego tamtej potrzeba — ciepła i przyjaźni. Żadnych pytań, mało słów i tylko te najprostsze; tego właśnie w tej chwili potrzebuje Marta.

A kiedy zdaje jej się, że przyjaciółce jest lepiej, że rozumie jej słowa, mówi nagle:

— Chodź do nauczyciela Petersena. Tam ludzie radzą. I ty musisz iść. Musisz usłyszeć, co się stało.

I Marta daje się prowadzić Agnes.

Niewielki, szczupły i siwy Marcin Waksjoeld stał na drewnianej werandce domu nauczyciela i podenerwowanym głosem powtarzał:

— Uspokójcie się ludzie. Rozejdźcie się ludzie do domów. Nic mi nie wiadomo o likwidacji radzieckiego cmentarza. A przecież władze pierwsze o czymś takim muszą wiedzieć.

— Nic wam nie wiadomo, wójcie? A w Ankene, to co? — woła Olaf. Stoi, górując wśród tłumu ludzi przed domem nauczyciela. Nikt nie zważa na deszcz, stoją uparcie mimo nawoływań wójta. Czekają na decyzję, na wspólną, wiążącą decyzję.

— Ankene? Nic mi nie wiadomo o Ankene — mówi wójt. — Pewnie plotka.



— I co, ludzie na to pozwalają? — pyta znów Olaf i szarpie swą ognistą brodę.

— Ej, nie kręćcie, wójcie. Są świadkowie przecież. Jernep i Karelson. Nie wierzycie im? — znów zaczyna Olaf.

Ludzie wołają: — Wierzymy. Jakże...

I wójt nie chce wręcz powiedzieć, że nie wierzy Jernepowi i Karelsonowi. Ale zwraca się do kowala:

— Nie buntuj ludzi, Olafie. Nie mamy tu co radzić. Jeśli likwiduje się cmentarz w Ankene, to znaczy, że takie jest rozporządzenie władz. A władze wiedzą, co robią. I znaczy, że tak być musi. Nic tu nasze gadanie nie pomoże.

Na bladą, pomarszczoną twarz Waksjoelda napływają rumieńce.

Ale przemowy wójta nie skutkują. Tłum powiększa się z każdą chwilą. Ludzie stoją już nie tylko w ogródku nauczycielskiego domu, ale i za parkanem, na ulicy.

Deszcz szarą mgiełką wypełnia przestrzeń, zacierając kontury dalekich gór. Czasem krótko, żłośnie zawyje wiatr i,

jakby rozsuwał mgliste firanki, odpędza gdzieś w dolinę deszcz. Kiedy wiatr cichnie, utracony, przenikliwy deszczyk znów siąpi.

Słowa wójta nie trafiają widać do ludzi. Józek Bryine trąca stojącego obok kowala.

— Jakże to! Jakże! Posłuchamy wójta? — rzuca mrukliwie, ze złością.

Żona Feliksa Struve woła głośno:

— Przyszli tu żołnierze. Bili się. Ginęli. Wypędzili stąd hitlerowców. Tu ich cmentarz. Umarłych z grobu wypędzać będziecie?

Wójt milczy. Bo co powiedzieć wdowie po człowieku, którego zdradą wydano hitlerowcom?

Ludzie stoją, jak skamieniały, trwają tu w zaciętym uporze. Myśli, które nurtują zebranych, są wielkie i poważne.

— Co tak będziemy stać — woła porywczo Olaf. — Trzeba coś postanowić. My naszych grobów nie damy!

— Człowieku, opamiętaj się! Do czego nawołujesz? Nieszczęście gotowe. Bić się będziemy z władzami? — woła rozgoryczony wójt.

— A choćby i bić! — popiera Olafa Józek i inni.

Przez tłum od strony furtki przepycha się pastor Mogelsen. Jest wysoki i chudy, ma długie, bocianie nogi, ubrany jest w ciemną marynarkę. Twarz ma zaróżowio-



Marta prawie biegnie. Ale już ktoś chwytą ją za rękę.

ną, okrągłą, o gładkiej, młodzieńczej cerze. Na wydłużonym, spiczastym nosie, spoczywają okulary, przez które patrzą przenikliwe, choć dobroduszne, brązowe oczy.

Pastor wchodzi na werandę, staje koło wójta. Zdejmuje czarny kapelusz i z uśmiechem zwraca się do ludzi.

— Słuchałem was, bracia i siostry, słuchałem już dłuższą chwilę. Chyba powstało jakieś wielkie nieporozumienie!

— Nieporozumienie... — mruczy drwiąco Józek.

— Chodzi więc o mogiły radzieckich żołnierzy. Władze postanowiły urządzić dla nich specjalny cmentarz.

— Specjalny cmentarz?! — ktoś woła, jakby źle dosłyszał.

— Tak. Szczegółów tej sprawy jeszcze nie znam. Ale akcja ta prowadzona jest na polecenie władz. W okolicy nie brak takich cmentarzy, nic więc dziwnego, że rząd chciałby założyć jeden wielki cmentarz. Wszyscy przecież wiecie, co to ekshumacja. Obecnie więc przeprowadza się masową ekshumację zwłok żołnierzy radzieckich. Umieści się ich na jednym wspólnym cmentarzu, którego miejsce ustalił już zapewne rząd.

Pastor przerywa. Uśmiecha się do ludzi pocziwie, przyjaźnie, tak, jak to zwykł czynić w każdą niedzielę z kazalnicy. Pastor nie należy do kapłanów, którzy lubią grzmiące przemowy i celują w rzucaniu wokół grózb i postrachu. Swoje tezy stara się przeprowadzać raczej z uśmiechem, serdecznie. Perswazją, spokojem, ale stanowczo — oto metoda pastora Mogelsena.

Teraz jednak uśmiech jego pozostaje osamotniony. Ludzie stoją naprzeciw niego — jedni w widocznej rozterce, pełni wahania, inni źli, zacięci, zdecydowani. Trudno z takimi ludźmi próbować sposobu łagodnej perswazji. To nie ten niedzielny tłum pocziwców słuchających kazania.

Ale pastor jeszcze nie kapituluje.

— Drodzy moi. Powstało jakieś wielkie nieporozumienie. Tu nie ma się czego wahać i zastanawiać. Trzeba tak, jak mówi wójt, rozejść się do domów i zająć swoimi sprawami. Nie ma się na co oburzać. Akcja ekshumacji jest często praktykowana w różnych krajach. A zresztą powiem wam, co ja o tym myślę. Otóż, to są mogiły obcokrajowców. Cudzoziemców. Więcej nawet, te mogiły i ten cmentarz jest bez żadnego krzyża. Ateistyczny. Rozumiecie ludzie? Nie taki, jak nasze cmentarze. Obcy cmentarz. Obcy. Jednego krzyża na nim nie ma. Prawda, ci żołnierze przynieśli nam wolność. Jesteśmy im wdzięczni, bardzo wdzięczni za to. Ale myślę, że rząd ma widać swoje racje, tworząc gdzieś jeden cmentarz dla sowieckich żołnierzy.

Pastor milknie, spogląda zza okularów swymi pocziwymi, brązowymi oczyma i uśmiecha się do ludzi, jakby chciał tym uśmiechem wyprosić u nich, by zgodzili się na jego wywody i w spokoju rozeszli do domów.

Pastora szybko popiera wójt, a z tłumu wyrывa się Jacobi, właściciel sklepu towarów kolonialnych:

— Słusznie pastor powiedział — to są obcy! I cmentarz bez krzyża. Lepiej, że go tu nie będzie.

Ale Olaf już woła z gniewem:

— Hola, panie Jacobi! Co to, to za dużo. Obcy, to może i są, ale dla tych, co walczyli z hitlerowcami! Dla nas oni nie obcy.

I Jacobi milknie. Nie lubi, gdy wypominać mu jego niesławną okupacyjną przeszłość. Ale pastor przychodzi mu w sukurs. Z jego twarzy znikł już uśmiech.

TRZY MILIONY I „COCA COLA“



Ogłoszenie „Coca Cola” sprzed pół wieku.

Przed trzema laty władze francuskie skierowały do sądu sprawę „Coca Cola Company”, oskarżając ją o pogwałcenie obowiązującej we Francji ustawy o produkcji napojów.

Po długich perypetiach sprawa została przez sąd... umorzona. W jaki sposób sąd francuski doszedł do swych konkluzji — opisuje wybitny uczony francuski, prof. Louis Lapique, członek Rady Higieny przy Akademii Medycyny oraz członek Akademii Nauk i profesor honorowy Sorbony.

Oto, co mówi prof. Lapique w oświadczeniu przesłanym do prasy francuskiej:

„Sprawa „Coca Cola” to prawdziwy skandal. Sam nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, gdy myślę o tym, jaki nacisk wywierany był na władze francuskie aż do ministerstw i parlamentu włącznie, by narzucić konsumentowi francuskiemu napój, który jest zakazany przez obowiązujące u nas ustawy sanitarnie o produkcji artykułów spożywczych. Nacisk ten, to typowy przejaw korupcji, przekraczający wręcz granice wyobraźni. Po prostu trudno uwierzyć. Generalny dyrektor amerykańskiej firmy „Coca Cola” przybył w tym roku specjalnie do Francji. Sądzę, że wydał on niemało pieniędzy. Wymieniano mi nazwiska ludzi, którzy otrzymali trzy miliony!

„Rada Higieny i Akademii Medycyny próbowały przeciwstawić się naciskowi rożącego koncernu amerykańskiego. Ale w końcu, mimo naszego oporu, sprawa została przez sąd umorzona i koncern może nadal zalewać Francję swym szkodliwym napojem. Ta decyzja sądu... jest aktem nieuczciwości. Trzeba, by o tym wszyscy wiedzieli”.

Koncern „Coca Cola” to nie lada potęga! Dał trzy miliony franków na zakupienie francuskich sędziów i trzy miliony dolarów na fundusz wyborczy Eisenhowera.

ZJEDNOCZONA EUROPA

Gdy tylko feldmarszałek Kesselring wyszedł z łaski rządu brytyjskiego na wolność, obokoczyli go amerykańscy dziennikarze. Opinie morderców na taką skalę są niezwykle cenione w kołach rządzących USA. Feldmarszałek nie odmówił więc swej rady i w toku dłuższego wywiadu, opublikowanego przez „Associated Press”, oświadczył, że należy natychmiast ratyfikować układ o tworzeniu armii europejskiej. „Jestem przekonany — oświadczył Herr Generalreldmarschall — że przyszła armia niemiecka, oparta na kadrze doświadczonych żołnierzy z frontu wschodniego, będzie przeniknięta tym samym bojowym duchem antybolse-

wickim, co dawny Wehrmacht”.

I dodał:

„Gdyby to nam, żołnierzom, pozostawiono, Europa zostałaby już dawno zjednoczona”.

Nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości. Sam Kesselring tak się do tego zjednoczenia przyłożył, że kazał zamordować w Rzymie 335 zakładników, a prócz tego zaaprobował egzekucję 1078 Włochów. W Oświęcimiu przyjaciele Kesselringa wymordowali 4 miliony ludzi. Nie wiele brakowało, by cała Europa została zjednoczona w jeden wielki cmentarz. Na szczęście, grabarze nacięli się na Armii Radziecką, która im skreśliła kark.

GRANICE WSPANIAŁOMYŚLNOŚCI

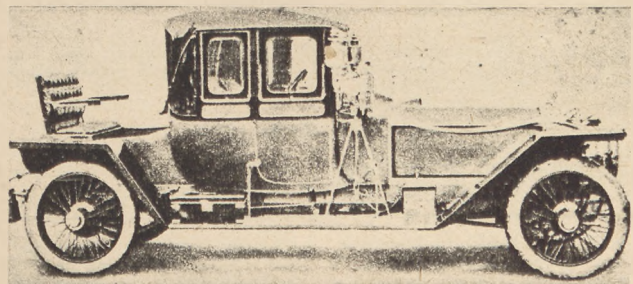


PARYŻ (ZPPA) — W więzieniach niemieckich przebywa obecnie kilkuset Polaków skazanych przez sądy alianckie na długoletnie — często dożywotnie — więzienie. Dużą większość wśród skazanych stanowią ludzie młodzi, którym — stosowna „zapobiegawczo” zbyt wysoka kara — zamyka drogę do powrotu do normalnego życia. Ludzie zaś ci są w większości moralnie zdrowi. Na drogę występu pchnęli ich nie normalne warunki powojennego i displacementu życia. Tak np. w więzieniu w Staubich odbywa karę 120 Polaków. Okolicznością dodatkową jest to, iż w chwili ratyfikacji umowy w Bonn z 26 maja 52 więźniowie przechodzą pod jurysdykcję niemiecką, wskutek czego nie będzie możliwe obniżenie kar nałożonych przez sądy alianckie. Chwilą najwłaściwszą do interwencji w tej sprawie jest okres przed ratyfikacją umowy w Bonn.

Jeden za drugim hitlerowscy zbrodniarze wojenni opuszczają mury więzień, „ulaskawiani” i „amnestiowani” przez wielkoduszne władze anglosaskie w Niemczech Zachodnich. Ale wspaniałomyślność okupantów anglosaskich ma swe granice. Oto w amerykańskich i angielskich więzieniach Trizonii przebywa kilkuset więźniów narodowości polskiej, skazanych za rozmaite przestępstwa, przeważnie popełnione pod wpływem nędzy, w rozpaczliwej sytuacji uchodźcy pozbawionego środków do życia, pomocy i opieki. Los tych Polaków, którzy nigdy nie doczekali się ani „łaski” ani „amnestii”, omawia „Dziennik dla Wszystkich”, wychodzący w Stanach Zjednoczonych, w numerze z dn. 16 października 1952 roku.

Można sobie wyobrazić, jaki los spotka tych więźniów, gdy w razie ratyfikacji układu ogólnego, dostaną się w ręce neohitlerowców z Bonn.

POJAZD SNOBÓW



Sługa siedział osobno

Brytyjska firma samochodowa „Rolls-Royce” specjalizuje się w wyrobie najdroższych samochodów świata. Za dwa lata obchodzić będzie pół wieku istnienia i z tego tytułu wylicza długą listę swych utytułowanych klientów. Okazało się, że nabywcą był m. inn. car Mikołaj II, który kupił „Rolls-Royce’a” dla siebie, dla carycy oraz dla... Rasputina (mnich-szarlatan, grasujący na dworze carskim), dalej — Franco i cesarz Japonii Taisho (ojciec Hirohito), który polakierował sobie wóz na kolor wiśniowy i kazał na drzwiczkach poprzybijać chryzantemy cesarskie, wykonane w złocie. Nizam Hajderabadu (potentat w Indiach, żerujący na nędzy własnych poddanych), kupił od razu hurtowo 50 sztuk, przy czym jeden z samochodów miał zamiast

tylnego siedzenia — tron pod baldachimem. Wóz ten ma całą karoserię ze srebra i wyłożony jest złotym brokatem. Maharadża Alwaru też nie dał się zaćmić kolegom kupując „Rolls-Royce’a” — aby jednak (o zgrozo!) sługa nie siedział z władcą pod jednym dachem, usłużna firma brytyjska („nasz klient — nasz pan”) zbudowała doczepne siodełko, z którego „fagaś” może rozkoszować się słońcem lub deszczem — zależnie od sytuacji. Nowe modele tych wozów kosztują zawrotną cenę 4.445 funtów szterlingów, do czego dolicza się jeszcze „podatek od nabycia” w wysokości 2.470 funtów 18 szylingów i 11 pensów. Te 6.915 funtów szterlingów nabywcypewnie płacić bez zmruczenia oka — ale te 11 pensów mogliby im doprawdy opuścić z ceny...

TADEUSZ FELIS: „ŻYCIE ZA DNIÓWKĘ”. Słowo wstępne Stanisława Wygodzkiego. PIW. Warszawa, 1952; str. 187 i 1 nlb.

ALBIN BOBRUK: „MATKA I SYN”. Słowo wstępne Jerzego Andrzejewskiego. PIW. Warszawa, 1952; str. 224 i 1 nlb.

Przed trzema laty był rozpisany przez Polskie Radio konkurs na wspomnienia robotnicze. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania: nadesłano ponad pięć i pół tysiąca prac. Z plonu tego konkursu, jako pierwsze wybrane pozycje, otrzymaliśmy obecnie książki Felisa i Bobruka.

Książki te zaliczyć można do określonych publikacji jakie ukazały się w ostatnim czasie. Wystarczy wspomnieć w kolejności pojawiania się na półkach księgarskich: „Pamiętniki robotników z czasów okupacji”, L. Rudnickiego „Stare i nowe”, J. Boka „Na Uralu”, I. Koszykowskiego „Dziecko ulicy”, J. Pogana „Na głodnym zagonie”, J. Witowskiej „Ludzie i nieludzie”, M. Krajewskiego „Miejsce stałego zamieszkania”. Obserwujemy ilościowy wzrost wspomnień pisanych przez robotników i chłopów. Dawniej były one spotykane niezmiernie rzadko. Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy świadkami wytwarzania się nowego działu naszej literatury.

Kiedy czytamy wspomnienia robotników lub chłopów, widzimy, że obraz, który się w nich rysuje, jest o wiele szerszy, niż ramy opowiadanej życiorysu. Z jednostkowych przeżyć i zdarzeń wylania się targająca serce i pamięć znamienita treść doświadczeń, które w okresie panowania kapitalistów i obszarników były wspólnym udziałem klas wyzyskiwanych. Odczytywany z kart wspomnień los jednostki staje się dzięki temu ilustracją wielu podobnych losów. Ujawnienie treści doświadczeń klasowych nadaje wspomnieniom wartość dokumentów, z których przemawia niedawna jeszcze, lecz zmieniona już bezpowrotnie historia krzywdy i walki ludu polskiego.

Taki charakter mają także książki Felisa i Bobruka. Są to utwory, które wzbogacają utrwaloną w literackim zapisie wiedzę o latach panowania sanacji.

Książka Tadeusza Felisa „Życie za dniówkę” ilustruje na przykładzie losu jej autora dwie koszarne prawdy rzeczywistości międzywojennej. Jedna — to bezlitosny wyzysk, machinacje fabrykantów, dyrekcji zakładów państwowych i drobnych przedsiębiorców, korzystających z prerogatyw dawanych przez ustrój, karygodne warunki pracy i wołające o pomstę warunki życia. Druga prawda — brak pracy. Dlatego we wspomnieniu, obejmującym kilkanaście lat do wybuchu wojny, większa część przypada na opis bezradziejnej vegetacji bezrobotnych i rozpaczliwe próby znalezienia jakiegokolwiek i jak bądź nawet płatnego zajęcia, które odsunęło by widmo śmierci głodowej. Opowiadanie Felisa jest bardzo wstrząsające w tonie, a jednak wywiera wrażenie najstraszliwszego oskarżenia. Oskarżają tu same zanotowane fakty. Muszą oskarżać, niezależnie od tego, że autor, jak gdyby w obawie, że szerszy opis mógłby być zbyt jaskrawy, po prostu wyłącza w prostym wyliczaniu. Dokumentarną wartość materiału wspomnień dopełnia relacja o tym, jak w warunkach wyzysku kształtuje się świadomość wyrobników i jak pod wpływem promieniowania rewolucyjnej ideologii KPP nabiera form coraz bardziej skryzalizowanych. W środowisku, które opisuje Felis, był to proces wyjątkowo skomplikowany, niemniej jednak coraz wyraźniej prowadził do świadomości krzywdy i buntu przeciwko wyzyskiwaczom do coraz jaśniejszej rysującej się jako konieczność decyzji walki o zmianę ustroju.

Ten sam proces widzimy również w książce Albina Bobruka „Matka i syn”. Wyraz doświadczeń walki jest tu bardziej wyrazisty, autor bowiem już od 18 roku życia był związany z ruchem rewolucyjnym. Opowiedziany jednostkowy los jest i w tym wypadku typowym odbiciem wielu podobnych losów. Przeżyte przez autora doświadczenia bytu wyzyskiwanych nadają książce wstrząsającą i niezapomnianą wymowę. Niezmiernie wzrusza przewijający się przez książkę motyw miłości do matki, która po wczesnej śmierci ojca walczyła z poświęceniem o życie dzieci. W obrazach, które czytamy, widać niezaprzeczony dar narracji i talent opisu, ale utwór Bobruka nie był bynajmniej zamierzony jako konstrukcja literacka. I tutaj, jak w innych pamiętnikach, mówią przede wszystkim fakty.

Dzięki rewolucyjnej świadomości autora zanotowane doświadczenia mają treść w pełni klasową: są doświadczeniami nie tylko krzywdy, lecz i walki. Karty książki, które opowiadają o działalności rewolucyjnej KPP na Podlasiu i o jej nieugiętych bojownikach wypełniają dotkliwie dotąd odczuwany brak w naszej literaturze.

Bobruk notuje także doświadczenia życia w społeczeństwie socjalistycznym z pobytu w ZSRR w czasie wojny, a następnie początek pracy w Polsce Ludowej. Linia doświadczeń walki o sprawiedliwy ustrój zachowuje w ten sposób ciągłość i otrzymuje piękne dopełnienie. Jest to książka wspaniałych i głębokich przeżyć. Słusznie została wyróżniona I nagrodą na konkursie Polskiego Radia i odznaczona państwową nagrodą literacką. Służyć będzie, jak i wydany jednocześnie pamiętnik Felisa, przypomnieniu minionych lat krzywdy i zarazem walki o to, co dzisiaj stanowi zwycięską treść naszej rzeczywistości.

HIERONIM MICHAŁSKI

TEATR ŚWIAT

DIREKCJA I TEKST: J. SZELĄG DEKORACJE I KOSTYUMY: HA-GA

Z DOŁU I Z GÓRY

Trzy akty z morałem

Osoby: Urzędnik, Zwierzchnik, Obywatel.

AKT I

GABINET URZĘDNIKA

Pukanie do drzwi

URZĘDNIK (młczy).

Pukanie do drzwi

URZĘDNIK (młczy).

Pukanie do drzwi

URZĘDNIK (młczy).

Drzwi się uchylają, wsuwa się Obywatel

URZĘDNIK: Czego tam?

OBYWATEL (nieśmiało): Ja właśnie, obywatelu urzędniku...

URZĘDNIK: Wyjść!

OBYWATEL: Ja właśnie...

URZĘDNIK: Wyjść!

OBYWATEL: Nie wyjdę, bo pan mi kazał właśnie dzisiaj

przejść w sprawie mojego podania.

URZĘDNIK: Nic nie wiem. Nic nie kazałem. Nie mam żadnego

podania.

OBYWATEL: Nie dziwię się, że pan zapomniał. To podanie

leży od pół roku.

URZĘDNIK: Przedawnione!

OBYWATEL: To z pańskiej winy.

URZĘDNIK: Pan obraża urzędnika na służbie z powodu peł-

nienia przezeń obowiązków służbowych. Ja pana...

OBYWATEL: Dobrze, dobrze. Ale co z moim podaniem? Jak

długo jeszcze ja i setki innych mamy czekać na załatwienie?

(Pytanie pozostaje bez odpowiedzi)



AKT II

GABINET ZWIERZCHNIKA

Pukanie do drzwi

ZWIERZCHNIK: Proszę!

URZĘDNIK: Ja właśnie, panie ministrze, z tym referatem...

ZWIERZCHNIK: Już macie gotowe. Przecież mieliście dopiero

na pojutrze.

URZĘDNIK: U mnie, panie ministrze, robota pierwsza. Po

prostu spać nie mogę, gdy mam jakieś zaległości.

ZWIERZCHNIK: Rzeczywiście, ile razy wam coś zlecić, wszyst-

ko jest załatwione piumem.

URZĘDNIK (zawstydzony ale zadowolony): Taki już jestem,

panie ministrze.

ZWIERZCHNIK: Ale czy wy się zaudito nie zapracowujecie?

Mizernie wyglądacie, a o siebie też trzeba dbać. Może wam

potrzebny ktoś do pomocy?

URZĘDNIK: Broń Boże, panie ministrze. Z nikim nie podzielię

się moją radością pracy.

ZWIERZCHNIK: No, ale przecież te referaty, inspekcje, wy-

jazdy w teren, no i przyjmowanie interesantów, załatwianie

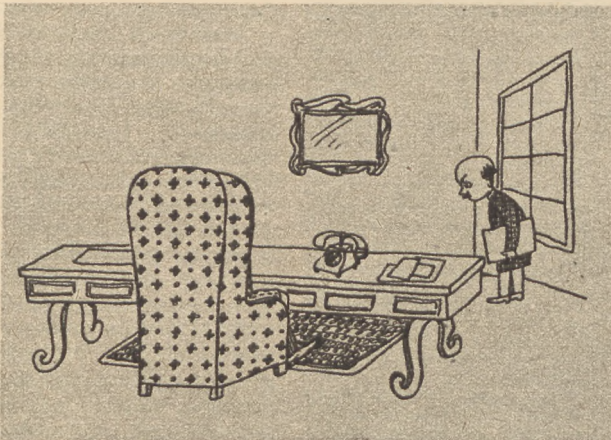
ich.

URZĘDNIK: Jestem szczęśliwy, że mogę pomagać panu mini-

strowi i że z obywatelami także... (wychodzi).

ZWIERZCHNIK (notuje): Urzędnik Kapuścikiewicz — premia,

przedstawić do odznaczenia.



AKT III

ULICA

OBYWATEL (kończąc przyjacielską rozmowę)... ciesze się, że ciebie spotkałem, żeśmy sobie powspominali nasze stare

dzieje. Wiesz, nie lubię tak na ulicy, ale muszę ci zwrócić

uwagę, że w twoim biurze jest jeden urzędnik, który nie

załatwia spraw jak należy. Biurokrata, cham, odnosi się do

ludzi co najmniej niewłaściwie. Powinieneś wejść w tę

sprawę.

ZWIERZCHNIK: Bardzo jestem ci wdzięczny za zwrócenie mi

uwagi. Rozumiesz, nie wszystko jeszcze u mnie idzie ide-

alnie. Ale oczywiście kontakt z obywatelami — to najważ-

niejsza sprawa. Nasz aparat jest jeszcze bardzo młody. Ale

muszę ci powiedzieć, że zdarzają się fenomeny. Mam tak-

iego urzędnika, który wszystko mi robi przed terminem,

dokładnie, grzecznie. Mówię ci: perla! A jak się nazywa

ten, o którym mówiłeś?

OBYWATEL: Kapuścikiewicz.

MORAŁ

Chcesz dobrze poznać i ocenić człowieka, zbadaj, jaki jest

nie wobec swych zwierzchników, ale wobec swych podwładnych

i wobec prostych obywateli.

KURTyna

PUBLICZNOŚĆ (długo klaszcze, nie rozchodzi się i kiwa gło-

wami na znak, że potwierdza słuszność morału).

XIX w., kiedy to ziemniak,

ten przybłęda zza morza, w

zawrotnym tempie zdobył so-

bie prawo obywatelstwa w na-

szym codziennym jadłospisie.

Poprzednio hodowano je

tylko w ogrodach, ukazywały

się też wyłącznie jako osobli-

wość na stołach ludzi zamoż-

nych, jak pisał Franciszek

Morawski:

„...Jakaś strawa szczegól-

na i dotąd nieznaną,

Dziwacka, cudzoziemską,

kartoflami zwaną”.

Dziś jadamy je wszyscy

niemal co dzień. Doświadczo-

ne gospodynie utrzymują, że

można z nich przyrządzić po-

nad 100 (sto) potraw; prze-

nyśt wyrabia z nich makę,

spirytus, krochmal itd., a die-

tetycy wymieniają cenne za-

lety skromnego ziemniaka:

witaminę C (przeciwskorbu-

tową), ślady witaminy A i B,

żelazo itd., i z tych też wzglę-

dów każą nam spożywać co-

dzienne od 25 do 50 dkg, w

zależności od wykonywanej

pracy — umysłowej czy fi-

zycznej.

Z powodu dużej zawartości

skrobi (krochmalu) ziemni-

ków nie można jeść surowych,

gotować zaś racjonalnie na-

leży jak następuje: a) przed

obraniem wymyć je pod bie-

żącą wodą, b) obrać jak naj-

cieńiej, c) wlać niewiele wody

i gotować na dużym ogniu

pod przykryciem.

Kiedy na przedwiośniu za-

czynają kielkować, zachodzą

w nich wówczas, zwłaszcza

pod skórka i przy kielkach,

zmiany chemiczne wytwarza-

jące solaninę, związek

silnie trujący. W tym okresie

ziemniaki trzeba gotować w-

łącznie obrane, staran-

nie wycinać kielki, po obraniu

sparzyć wrzątkiem, wodę od-

lać, zalać świeżą wodą gorącą

i w tej dopiero gotować.

Późną jesienią, koniecznie

przed pierwszymi mrozami,

skrzętna gospodyni zakupuje

ziemniaki na zapas zimowy i

składa je na deskach, w piw-

nicy chłodnej, w miarę suchej,

przy tym ciemnej, aby nie

kiełkowały za bardzo. Zabez-

piecza je przed zmarznięciem

zaopatrując okienko i pamie-

ta, aby wietrzyć piwnicę tyl-

ko w ciągu dnia, a w razie

silnych mrozów nakryć kar-

tofle workiem, gdyż zmar-

znięte (przy 3° poniżej zera)

tracą sypkosć, stają się słod-

kawe, wodniste i szybko się

psują.

Na zakończenie mała cieka-

wostka kulinarna: obiad z

czterech dań przyrządzony

całkowicie z ziemniaków.

Salatka z włoszczyzny i

ziemniaków;

Zupa ziemniaczana przecie-

rana, ze śmietaną;

Ziemniaki nadziewane grzy-

bami;

Słodkie placuszki z ziem-

niaków i sera.

Zjemy smacznego!



Drodzy Czytelnicy!

W wielu nadesłanych listach do Redakcji Czytelnicy

zadają pytania, które wiążą się bezpośrednio z naszym

tygodnikiem. Postaramy się na te pytania odpowie-

dzied.

Ob. W. Stanisławski (Wrocław). Oczywiście, że inte-

resują nas również krótkie informacje, dotyczące pracy

Komitów Frontu Narodowego na odcinku pomocy,

jaką udzielają obywatelom członkowie Komitetów.

Jeśli idzie o fotograficzny reportaż na ten temat, to jest

on już zaplanowany przez naszą redakcję.

Ob. Henryk Rogala (Bydgoszcz). Bardzo dziękujemy

za projekt konkursu, który rozpatrzymy w najbliższym

czasie. Informacje z zakresu działu rozrywek umysłowych

prześlemy listownie.

Monika C. (Tarnów). Zdjęcia działaczy światowego

ruchu pokoju niejednokrotnie już ukazywały się na łamach

naszego pisma.

Niewątpliwie nieraz jeszcze będziecie mieli okazję

ujrzeć fotografie Hikmeta, Glezosa, Raymonde Dien

i Pak-Den-Ai.

Państw. Przedsiębiorstwo Filatelistyczne. Bardzo dzie-

kujemy za miły list. Cieszymy się, że dzięki naszej no-

tatce nadeszły również listy z ośrodków wiejskich.

Ob. Marciniak (Kraków). Uważamy za bardzo słuszną

propozycję zamieszczania krótkich reportaży z całego

kraju, które zwracałyby uwagę na niedociągnięcia czy

to w dystrybucji towarów, czy też na konkretne nie-

dopatrzenia rad zakładowych w poszczególnych zakła-

dach pracy. Prosimy o przesłanie materiału.

Ob. S. Kaczyński. Słusznie krytykujecie mało atrak-

cyjną formę naszej kolumny sportowej. Większy repor-

taż o sportach zimowych ukaże się w najbliższym czasie.

Ob. C. Żukowska (Warszawa). Dwutygodnik „Świat

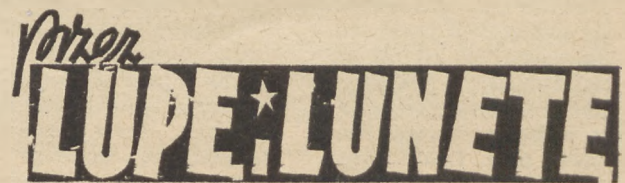
Filmu”, który od niedawna pojawił się w naszym piśmie,

będzie oczywiście uwzględniał również drobne wiadomo-

ści filmowe z całego świata. Postaramy się również

zamieszczać większą ilość fotografii.

ŚWIAT



KURA I ZŁOTE ZIARNA

Czy znacie bajkę o elektro-

magnetycznej kurze, która

dziobie złote ziarna? Na pew-

no nie, bo to nie bajka, lecz

nowoczesny sposób wydoby-

wania złota. Piasek i żwir z

pokładów złotonośnych zsy-

puje się na szybko posuwają-

cą się i jasno oświetloną taś-

mę. Najdrobniejsze nawet

ziarnko złota odbija mocniej

światło, które po odbiciu pa-

da na komórkę fotoelektrycz-

ną. Ta z kolei uruchamia „ku-

re” — elektromagnes z pneu-

matycznym urządzeniem, któ-

re wsysa ziarnko złota, oczy-

wiście razem z najbliższymi

ziarnkami piasku.

Otrzymany w ten sposób

piasek zawiera znacznie wię-

cej złota niż pierwotny suro-

wiec i znacznie łatwiej już z

niego wydobyć czysty metal.

ZÓŁTY, CZERWONY, NIEBIESKI...

Spróbujcie wymienić wszy-

stkie znane wam kolory i od-

cienienie. Z początku wszystko

pójdzie gładko: koło liczby

50 zaczyna się kłopoty, a już

do setki będzie trudno doje-

chać. A oko ludzkie jest tak

czułym instrumentem, że mo-

że rozróżnić do 10.000 kolorów

i odcieni.

Czasem i ta precyzja nie

wystarcza — na przykład

przy produkcji farb i barwni-

ków o standardowym odcieniu.

I wtedy z pomocą przychodzi

komórka fotoelektryczna.

Specjalne przyrządy z zastosowaniem tej komórki potrafią rozróżnić 2 miliony kolorów i odcieni!

BŁYSKAWICA ZA GROSZE

Był czas, kiedy uczeni ma-

rzyli o wykorzystaniu energii

elektrycznej pioruna. Wkrót-

ce jednak marzenia o ujarz-

mieniu tego groźnego zjawis-

ka poszły w kąt: nie warto

MECZ SZACHOWY

„Świat” — Czytelnicy

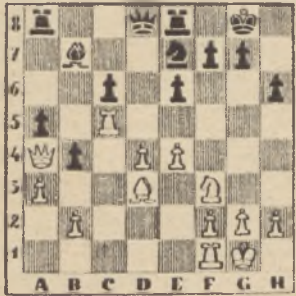
W odpowiedziach na 20 posunięcie Redakcji byli Czytelnicy zgodni tylko w partiach W1 i W21. Natomiast w partii W20 głosy Czytelników rozproszyły się między 11 różnych posunięć.

W partii W1 przeszło Sc8—e6 (50,9% głosów) przed b4: a3 (21,4%) i Sc8—b6. W partii W20 najwięcej głosów uzyskało posunięcie Wa8—c8 (24,1%) przed Se8—c7 (18,4%), Se8—g7 (17,9%), Hd8—c8 itd.

Wreszcie w partii W21 wybrali Czytelnicy Gb7:e4 (71,5% głosów) przed Wa8—d8.

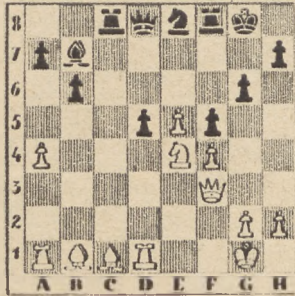
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji trzy najszybsze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



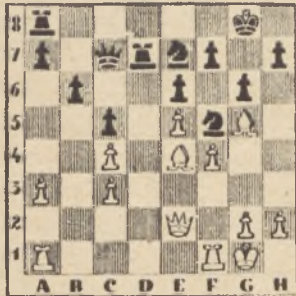
19. Gd6—c5 Sd7:c5
20. Wc1:c5 Sc8—e7
21. Hd1—a4

PARTIA W20



19. fth5—f3 Gc8—b7
20. Wf1—d1 Wa8—c8
21. Sg3:e4

PARTIA W21

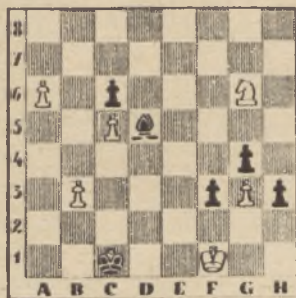


19. Gh6—g5 Wd8—d7
20. Sg3—e4 Gb7:e4
21. Gd3:e4

Przypominamy, że odpowiedzi na 21 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 25 listopada br.

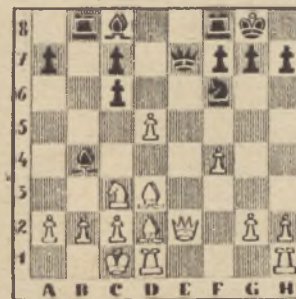
SZACHY

ZADANIE A 67



A. Troicki
Białe zaczynają i remisują.

ZADANIE B 68



Powyższa pozycja pochodzi z partii Sionim — Riunin (Moskwa, 1931 r.). W jaki sposób czarne, na które przypada posunięcie, zmusiły przeciwnika do kapitulacji?

PARTIA NR 42

grana podczas ostatnich mistrzostw Polski w Katowicach. Caro — Cann

Białe: Szymański
Czarne: Regedziński

1. c2—e4 c7—c6 2. d2—d4 d7—d5 3. Sb1—c3 d5:e4 4. Sc3:e4 Gc8—f5.

Drugim równie popularnym posunięciem w tej pozycji jest 4... Sf6, co jednak po 5. S:f6 i 5... e:f6, lub 5... g:f6 daje czarnym mniejsze szanse na wyrównanie niż posunięcie w tekście.

5. Se4—g3 Gf5—g6 6. h2—h4 h7—h6 7. f2—f4

Zazwyczaj grywają tu 7. Sf3 z ewentualnym dalszym ciągiem 7... Sd7 8. Gd3 G:d3 9. H:d3 Hc7 10. Gd2 Sg6 11. 0—0 e6 itd., przy czym białym trudno jest zrealizować posiadaną przewagę pozycyjną.

7... e7—e6 8. h4—h5 Gg6—h7 9. Sg1—f3 Gf8—d6 10. Gf1—d3 Gh7:d3 11. Hd1:d3 Sg6—e7

Lepiej było grać od razu 11. Sd7 z dalszym Hc7 i długą rozsadą.

12. c2—c4 Gd6—b4+ 13. Gc1—d2 Gb4:d2+ 14. Hd3:d2 Sh8—d7 15. 0—0 Hd8—c7 16. Sf3—e5 Wh8—f8 17. Sg3—e4 0—0 18. c4—c5 Sd7:e5 19. f4:e5 Se7—d5

Czarne uzyskały wprawdzie dobry punkt dla swego skoczka, ale w zamian za to białe dostały dla swego skoczka pole d6 oraz możliwości naciśku po linii f wraz z szansami ataku na czarnego króla.

20. Wh1—h3 Wd8—d7 21. Se4—d6+ Kc8—b8 22. Wd1—f1 f7—f5 23. e5:f6 Wf8:f6 24. Wf1:f6 Sd5:f6 25. Hd2—e2.

Teraz białe rozpoczynają naciśk na nową słabość powstałą w obozie przeciwnika — piona e6.

25... Wd7—e7 26. Wh3—e3 Sf6—d5 27. We3—f3 Sd5—f6 28. He2—e1.

Żeby po 29. We3 Sd5 30 W:d6 czarne nie mogły zagrać 30... Sf4.

28... b7—b6.

Niepotrzebne nowe osłabienie pozycji.

29. Wf3—e3 Hc7—d7 30. We3—b3 Sf6—d5 31. He1—f1 Hd7—d8 32. Hf1—a6 We7—d7 33. a2—a4 Wd7—c7.

Czarne skazane są na pasywną obronę.

34. Kc1—b1 Hd8—e7 35. Sd6—c4 Wc7—b7 36. c5:b6 a7:b6 37. Sc4:b6 Sd5—b4 38. Ha6—a8+ Kb8—c7 39. Sb6—c4 Wb7—b8 40. Ha8—a5+ Kc7—c8 41. Sc4—b6+ i czarne poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 63

FANTAZJA WIRÓWKOWA: Wykonamy Plan Sześcioletni (wirowo: nagany, Otello, rutyna, straty, karbol, kanton, perkoz, modniś, bosaki, patrol, granat, obłoki, salata; dośrodkowo: Nowe, okres, ring, smola, kopa, kanal, Pisz, merla, baca, polot, Grek, Onega).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 62 nagrody książkowe otrzymują:

1) A. Adamowicz — Pisz, ul. Zymierskiego 24a, 2) M. Bajonka — Grodzisk Wlkp., ul. Wiezienna 1, 3) C. Bielaj — jedn. wojsk., 4) J. Chróścicka — Golański k/W-wy, ul. Leśna 10, 5) I. Gorlas — żywiec, ul. Bracka 21, 6) S. Janiak — jedn. wojsk., 7) M. Kasprzyk — Momina k/Ostrowca, 8) S. Kawecki — Warszawa, ul. Puławska 1, 9) I. Kozłowski — Łódź, ul. Siedlecka 34, 10) T. Krawczyk — Bytom, ul. Powst. Warszawskich 4, 11) L. Marszałek — Poznań, ul. Wysoka 11, 12) I. Ostromecki — Karczew, ul. Kościelna 37, 13) S. Płonka —

Bielawa, ul. Bieruta 46, 14) H. Sierakowska — Gdynia, ul. Śląska 51, 15) I. Staniszevska — Września, ul. Obr. Stalingradu 18, 16) K. Stypa — Chorzów, ul. Bożogrobców 34, 17) O. Szczęsnowicz — Kraków, ul. Szymanowskiego 1, 18) J. Szufa — Jaworzno, ul. Grunwaldzka 82, 19) A. Wachowski — Inowrocław, ul. Stalingradzka 51, 20) M. Wronowa — Łódź, ul. 22 lipca 19. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 63

ELIMINATKA: Wyzwolenie ludu pracującego z jarzma wyzysku kapitalistycznego nadało pracy nową treść (Okrzeja, Kasprzak, Nowotko, Waryński, Buczek, Krasiecki, Sawicka, Kniewski, Worcell, Barlicki).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 63 nagrody książkowe otrzymują:

1) H. Badowska — Warszawa, ul. Czerniakowska 131, 2) J. Betnerowicz — jedn. wojsk., 3) W. Cieślak — Gdańsk—

Wrzeszcz, ul. Kossaka 7, 4) B. Furdell — Białystok, ul. Elektryczna 12, 5) S. Grabowski — Płock, ul. Piekarska 17, 6) Z. Jelito — Koszęcin, pow. Lublińiec, 7) J. Kaczkowski — Kielce, ul. Swierczewskiego 24, 8) Swietlica Robotnicza CZPB — Kamienica Polska k/Czestochowy, 9) K. Kosecki — Giżycko, ul. Obr. Stalingradu 22, 10) W. Kostecki — Ziebie, ul. Mickiewicza 8, 11) G. Kuik — Ustka, ul. Kilińskiego 1, 12) Z. Kuskowski — Warszawa, ul. Czerska 8/10, BMW, 13) Z. Plesiński — jedn. wojsk., 14) W. Pietniak — Gorlice, ul. Kościuszki 10, 15) Zastęp kl. V przy Szkole Podst. — Solca Wielka, p-ta Ozorków, 16) Z. Stankiewicz — Wojkowice Komorne, ul. Sobieskiego, blok 1, 17) M. Szepard — Warszawa, ul. Wawliców 14, 18) A. Witowski — Warszawa, ul. Mianowskiego 12, 19) K. Zbolyty — Goczałkowice-Zdrój, ul. Górna 16, 20) S. Zieliński — Łódź, ul. Rogowska 26, Dom Akad.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

TANIO i ŁADNIE

Na prośbę naszych Czytelnicek zamieszczamy dalsze modele pałt zimowych — jednocześnie odpowiadając na kilka pytań nadesłanych w listach.

A więc: 1) Tak, rękawy do pelis modne są bardzo szerokie i wszywane w ramiona — nie regłanowe. 2) Wszystkie rękawy zakończone są mankietami — albo z materiału, albo z tego samego futra, co kołnierz. 3) Wysokość mankietów bardzo różna — od normalnych (przy pałtach sportowych) do sięgających niemal łokcia (przy pałtach z kołnierzem futrzanym). 4) Tak, bardzo modne są czapeczki włóczkowe, robione na drutach; przykład — nasze dzisiejsze modele. Jakie futro najbardziej nadaje się na kołnierze? — Takie, na jakie nas stać.

Na inne pytania odpowiemy następnym razem.

ARTYŚCI TEATRU IM. MOSSOWIETU

W KARYKATURZE K. FERSTERA



Wiera Marecka



Jerzy Zawadski



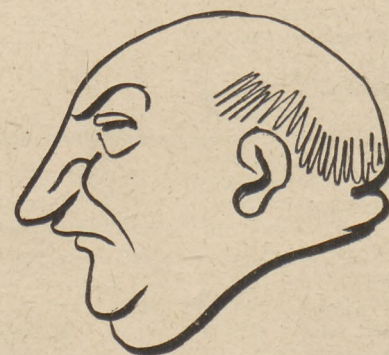
R. Platt



M. Rozen-Sanin



W. Sidorkin



O. Abdulow